

# Portret z kobietami, czyli Paweł Edmund Strzelecki żywy.

**Anna Habryn „Portret z kobietami” - sztuka teatralna o polskim podróżniku, geologu i geografie, eksploratorze Australii, Pawle Edmundzie Strzeleckim, zmarłym w 1873 roku w Londynie. Sztuka została wystawiona przez teatr Scena 98 z Perth,**

**Na podstawie sztuki powstało słuchowisko radiowe p.t. „Daleś mi marzenie” w reżyserii Joanny Borkowskiej-Surucic, przedstawiona przez teatr Fantazja z Sydney.**



**Paweł Edmund Strzelecki (Grzegorz Niedźwiadek) i służący Stokes (Wiesław Wójtowicz) w sztuce Anny Habryn.**

## Leszek Szymański

„Dależ mi marzenie” to skrócona wersja sztuki Anny Habryn „Portret z kobietami”. To zsyntetyzowana “biografia” Pawła Edmunda Strzeleckiego, bez wątku związanego ze współczesną polemiką na temat ważności zasług Strzeleckiego dla Australii i świata.

A właśnie ta kwestia jest motywem dominującym w oryginalnej sztuce Habryn o Strzeleckim, intrygująco zatytułowanej „Portret z kobietami”.

Portret Pawła Edmunda Strzeleckiego, to portret człowieka o wielkich ambicjach i okrutnie egoistycznego wobec kobiet - orzeka znana australijska pisarka Helen Heney w sztuce Anny Habryn. “Heney” przemawiając ze sceny informuje nas, że właśnie pisze opowieść w imieniu porzuconej Adyny („In a Dark Glass”, 1961, Angus and Robertson, finansowana przez *Australian Literary Fund* [sic]). w której portretuje Pawła Strzeleckiego jako uwodziciela, który oszukał niewinną dziewczynę Adynę, złamał jej serce i zrujnował życie.

Nie mogę w tym miejscu naśladować naszego znakomitego Boya Żeleńskiego, żeby dać pełną analizę historycznego etapu w rozwoju Australii, kiedy to “Hrabia”\* Strzelecki przybył do Sydney z Nowej Zelandii. A było to pewnego wietrznego dnia, w kwietniu 1839 roku. Przypomnę tylko, że Australia była w początkowej fazie rozwoju politycznego i ekonomicznego. Większość kraju była niezbadana. W czasie swego stosunkowo krótkiego pobytu w Australii, Strzelecki dokonał niesłychanie dużo: znaleziska paleologiczne, projekty nawodnienia pól Tasmanii, odkrycia złóż rozmaitych surowców, „zdobycie” i nazwanie najwyższego szczytu w Australii imieniem Kościuszki, odkrycie złota, zatajone przez Gubernatora Gippsa i odkrycie Ziemi, która do dziś dnia nosi imię tego niewdzięcznika... Naukowe dzieło P.E. Strzeleckiego “Physical Description of New South Wales and Vand Diemen’s Land” było przez wiele lat podstawowym podręcznikiem geologii Australii.

Współcześni nie zaprzeczali osiągnięciom Strzeleckiego, który pozostawił po sobie jak najlepsze wrażenie. Pamięć jego była szanowana i uznawana w książkach i podręcznikach, aż do czasów pani Helen Heney, kiedy to, jeśli posłużymy się słowami Adyny w sztuce Anny Habryn, czytelnicy Heney uwierzyli w jej potwarze wobec Strzeleckiego i jego imię zniknęło z podręczników szkolnych oraz strącono go z

pomnikowego piedestału, a Heney w ten tani i niegodny sposób zdobyła nowe piórko do swego literackiego kapelusika.

Nie tylko przeciętni czytelnicy uwierzyli rozmaitym kalumniom i nie spostrzegli opuszczeń, pomyłek historycznych i fałszywych interpretacji, ale dali się przekonać i zawodowi historycy, których etycznym obowiązkiem było spostrzec błędy Heney\*\*. Imię Strzeleckiego praktycznie zniknęło z australijskich książek, a co gorsza został on określony przez czołowego australijskiego historyka jako polski awanturnik.

Strzelecki był postacią dość zagadkową, prawie tajemniczą. Najpełniej znanym okresem jego życia, jak można sądzić na podstawie znanych dokumentów, był właśnie jego pobyt w Australii. Z tego czasu mamy zachowaną część korespondencji z Adyną. Listy Strzeleckiego są w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, listy Adyny zaginęły.

Historia Adyny Turno to romans z 15-letnią dziewczyną i - jak głosi plotka - usiłowanie porwania. Historia dająca się porównać do historii innego Edwarda znanego w historii Australii (Wakefielda), który wylądował w więzieniu za porwanie pewnej dziedziczki fortuny, jak się dziwnie składa również piętnastoletniej. Tylko, że miłość Pawła i Adyny nie miała podłoża materialnego, bo dziewczyna była biedna niczym mysz kościelna. No i Strzelecki, choć stracił reputację i narobił sobie kłopotów, nie wylądował w więzieniu. Ostatecznie uzyskał posadę administratora majątków Księcia Eustachego Sapiechy. Po jego śmierci zdobywszy wystarczające fundusze znalazł się w Anglii i po licznych i długich



**A Portrait with Ladies**

**Cast:**

Paul Edmund de Strzelecki:	
In 1873	Włodzimierz Halladin
In 1820, 1840 and 1866	Grzegorz Niedźwiadek
Stokes	Wiesław Wójciewicz
Adyna 15-years	Klaudia Sosin
Adyna 61-years	Malgorzata Burak
Helen Heney	Ania Niedźwiadek
Adam Turno	Bogusław Szczępaniak
Karolina Prusinska	Joanna Wydmarska
Izabella Słupska	Klaudia Czabacka
Słupski	Piotr Kukulski
Keene	Alexander Sosin
Sir John Franklin	Marek Maciołek
Lady Jane Franklin	Barbara Magrowska
Sir George Gipps	Stanisław Olejnik
Florence Nightingale	Moska Rosiewicz
Sir Sydney Herbert	Maciej Maciołek
Lady Herbert	Agata Halladin
Archie	Adam McCann
Dancing Couple	Robert Hamilton Maria Swider

**AUTHOR:** Anna Habryn  
**DIRECTOR, STAGING and PROPS:** Tomasz Bajakowski  
**ASSISTANT DIRECTORS:** Maryla Kuzmicka  
Ania Niedźwiadek  
Danuta Rosiewicz  
**COSTUMES:** Anna Lilpop  
Nina Miché  
Krystyna Matejko  
**MUSIC:** Stanisław Tomasiak  
Maciej Warzycki  
**COMPOSER and SINGER:** Klaudia Sosin  
**SOUND:** Maryla Kuzmicka  
**CURTAIN and PROMPT:** Zbigniew Niedźwiadek  
**LIGHTING:** Marian Skóra  
**PHOTOGRAPHY:** Filip Wehna  
**SET DESIGN AND CONSTRUCTION:** Tomasz Bajakowski, Krystyna Łyszkowicz,  
Stanisław Olejnik, Wiolet Rosiewicz, Ryszard Hamilton, Jerzy Adamuszek, Marian Skóra

POLISH YOUTH THEATRE GROUP



**A PORTRAIT WITH LADIES**

by Anna Habryn

**St. Joseph's Hall, Maylands**  
**18 April 2010**

Friday, 23 April 2010  
Sunday, 25 April 2010

**PERTH**

podróżach w Australii, gdzie choć nie zdobył majątku, rozślawił swe imię.

Sztuka Habryn została napisana w 2009 roku i po raz pierwszy wystawiona przez polską grupę teatralną Scena 98 z Perth, która rok później wystąpiła z tym przedstawieniem (w reżyserii Tomasza Bujakowskiego) w konsulacie i ambasadzie PR oraz w kilku polonijnych klubach w Melbourne i Sydney.

Jest to sztuka niezwykła, w trzech aktach, pełna retrospekcji. W pewnym sensie przypomina komedię Luigi Pirandello „Sześć Postaci w poszukiwaniu Autora”.

Habryn określa swą sztukę jako niezupełnie poważną, mając chyba na myśli wprowadzenie piosenek śpiewanych przez głównych bohaterów. Te śpiewane komentarze spełniają podwójną rolę: służą jako expose dla postaci i są jednocześnie momentem odprężenia w jednak poważnej choć nie ponurej atmosferze utworu, który zaczyna się na łożu śmierci Pawła Strzeleckiego i kończy jego zgonem. Mimo tego cienia śmierci i braku formalnej fabuły, akcja toczy się wartko, zapewniając dramatyczne napięcie. Zaskakując czasami.

Dążenie do sławy, chęć zdobycia majątku, obowiązek wobec ludzkości, co nim kierowało? Złożoność przyczyn jakie nadają kierunek życia wielkim ludziom? Ostateczny sens jaki usiłujemy nadać naszej egzystencji? Habryn nie daje nam definitywnej odpowiedzi, ba, nie wkłada definitywnej wypowiedzi w usta Strzeleckiego, który do końca sztuki pozostaje postacią zagadkową, wielowymiarową.

Kobiety w portrecie Strzeleckiego to przede wszystkim Adyna, dwie późniejsze znajome: Lady Herbert i Florence Nightingale, a także protagonistka Helen Heney.

Występuje też w sztuce Lady Jane Franklin mecenaska kultury i nauki, żona gubernatora Johna Franklina, sławnego wtedy zdobywcy Arktyki, która opiekowała się Strzeleckim podczas jego pobytu na Tasmanii. Pojawia się ona też później w Londynie, informując Strzeleckiego o śmierci jego przyjaciela Johna Franklina. Stali się na Tasmanii bliskimi przyjaciółmi i Strzelecki nawet chciał objąć komendę statku wyruszającego na poszukiwanie zagubionego wśród lodów Franklina.

Zainteresowanie sprawą polską słynnej Florence Nightingale i finansową pomoc dla

ofiar powstania, możemy na pewno przypisać Strzeleckiemu (choć o tym w sztuce nie ma wzmianki).

Autorka zrećźnie daje do zrozumienia, że Strzelecki w Londynie znał wpływowe i znakomite osoby, nie zapomina też o jego świetnej organizatorskiej i filantropijnej działalności podczas Irlandzkiego Wielkiego Głodu Ziemniaczanego. Wszystko to bez obciążania akcji żmudnymi opisami.

Najważniejszą z portretowanych kobiet jest Adyna, która oczywiście wpłynęła na życie Strzeleckiego, i do której miłość, choć wyglądała romantycznie z kwiatkiem z góry Kościuszki, może ochłodziła pod wpływem doświadczeń życiowych i upływu czasu? A może ta 15-letnia Adyna, w której zakochał się 23-letni Paweł istniała tylko w tym okresie, a później już tylko w jego wyobraźni, a zwłaszcza w listach? I drugiej Adyny nie mógł znaleźć?



Anna Habryn po spektaklu w rozmowie z odtwórcą roli Pawła Edmunda Strzeleckiego, Włodzimierzem

Halladinem.

Bo ostatecznie, choć Pawłowi mogły grozić konsekwencje za dezercję z wojska pruskiego, prawdopodobnie by mu to wybaczone tak jak i Ludwikowi Leichardtowi. Tak, że mógłby ryzykować wizytę w Poznańskim. Na tym miejscu warto zauważyć, że prawie rówieśnik Strzeleckiego Prusak Leichardt, którego osiągnięcia są znacznie mniejsze niż Strzeleckiego, cieszy się pełnym uznaniem historyków, ma liczne biografie i stał się bohaterem popularnej powieści Patricka White'a „Voss”.

Nieprzyjemnie licytować się, kto miał większe osiągnięcia i komu należy się wyższe miejsce na piedestale, ale skoro pani Heney skutecznie ściągnęła naszego bohatera z cokołu, warto się zastanowić nad nienaruszoną reputacją Leichardta. Ale wracając do tematu; Adyna bez większych trudności mogła podróżować do Londynu – gdyby oboje chcieli, zamiast spotykać się po latach w Szwajcarii, co prawda nie jako zgrzybiała para, jak ich określił Zygmunt Nowakowski, ale zdecydowanie już nie pierwszej młodości.

“Helen” w sztuce „Portret z kobietami” nabiera życia i możemy współczuć jej nieszczęśliwej miłości do polskiego oficera, ale prawdziwej Heney nie da się wybaczyć złośliwości wobec Strzeleckiego (nawet jej wzmianka w autorytatywnym australijskim Słowniku Biograficznym, choć wierna faktograficznie, jest utrzymana w nieprzychylnym, lekceważącym tonie i prawdopodobnie bardziej skuteczna dla umniejszenia naszego bohatera we współczesnej historiografii australijskiej i niestety ogólnym odbiorze niż jej książka).

Gdy ukazał się paszkwil Helen Heney, nikt nie dał jej odprawy. Wacław Słabczyński, dyrektor Biblioteki Narodowej, redaktor dzieł Strzeleckiego, autor jego popularnej biografii – milczał.

Biografia Pawła Edmunda Strzeleckiego pióra Lecha Paszkowskiego, znakomitego historyka, autora epokowego dzieła „Polacy w Australii i Oceanii”, ukazała się dopiero w 1997 roku, i choć rzetelna i głęboka, jest niestety walką z cieniem.

Helen Heney słusznie odeszła w zapomnienie, choć efekt jej kreciej roboty trwa do dziś dnia. Przeciętny czytelnik biografii „Sir Paul Edmund de Strzelecki”, nie mając pod ręką „Through the Dark Mirror”, nie orientuje się, z czym Lech Paszkowski

polemizuje i co go tak słusznie oburza. No i zwykle brak temu czytelnikowi głębszej wiedzy historycznej, by osądzić, kto miał rację.



Zespół teatru Scena 98 z Perth po spektaklu „Portret z kobietami”, 2011 r., fot. Anna Habryn.

Natomiast sztuka Habryn dociera skutecznie do widza i czytelnika, nadając życie ceniom i docierając tam, gdzie uczone dzieła nie dotrą. I powinna być udostępniona nie tylko Polonii, lecz i widzom w Polsce.

Poza wszelkimi innymi zaletami, których nie można przecenić, jak intuicja historyczna i literacka, plastyczność postaci, ich realizm uchwycony pociągnięciem piórka, humorem, jędrnym językiem, sztuka jest dostosowana do poziomu odbiorcy, dając mu podstawowe wiadomości i jednak coś do myślenia, każąc się zastanowić, kim był właściwie nasz bohater i co chciał osiągnąć w życiu. I zarazem dając znacznie więcej dyskusyjnego materiału widzom o głębokiej znajomości historii Australii i Anglii.

---

\* Strzelecki nie używał tytułu hrabiowskiego, ale nie protestował. Otwierało mu to wiele drzwi.

\*\* Niżej podpisany w owym okresie wiedział zbyt mało o P.E. Strzeleckim by zabierać głos. Lech Paszkowski był również stosunkowo mało znany, ale Wacław Słabczyński i Jerzy Zubrzycki byli postaciami znanymi międzynarodowo.

\*\*\* Pesymistycznie zakładam, że tym czytelnikiem jest osoba polskiego pochodzenia, gdyż książka Lecha Paszkowskiego nie jest skierowana do anglosaskiego odbiorcy.

---

**Leszek Szymanski** (historyk, pisarz polsko/australijski, m.in. autor "Kazimierz Pulaski in America, a monograph"), postać znana z historii literatury polskiej jako założyciel i pierwszy redaktor niezależnego czasopisma literackiego „Współczesność”, były współpracownik „Wiadomości Polskich” i radia SBS w Sydney oraz pism w Anglii i USA, mieszka obecnie w Kalifornii.

**Anna Habryn**, pisząca po polsku i angielsku autorka powieści „Miłość po szkocku” (drukowanej w odcinkach „Liście oceanicznym - dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto oraz na stronie Culture Avenue), pięciu tomików wierszy i sześciu sztuk teatralnych, mieszka w Perth, WA.

**zobacz też:** <http://mtkosciuszko.org.au>

---

## **Poranek na bagnach - haiku**

**Fotografie: Anna Fiala**

**Tekst: Adam Fiala**





*Poranek na bagnach*

*Ma swój rytuał*

*Ciszę wzbogacają ptaki*



*Niby pchły*

*Maleńkie kangury*

*Skaczą w zieleni wzgórz*



*One ze sobą konkurują*

*Która kałuża*

*Więcej odbija obrazu nieba*



*O wschodzie słońca*

*Chmura zwraca się do nas*

*Swą okrągłą twarzą*



*Ja idę do przodu*

*Ty idziesz do tyłu*

*Podświetloną słońcem plażą*



*Krwotok nieba*

*Niegroźny*

*Bo tworzą go chmury*



*Niebo także*

*Ma swoją*

*Baletnicę*

---

# Miłość po szkocku. Marsz kombatantów.

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecińczych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. Mary jest postacią autentyczną.*





fot. Shutterstock

**Anna Habryn**

## **Rozdział 7**

- Mandy, wróciłam. Przyjdziecie z Peterem na obiad w sobotę? Opowiem wam o Polsce. Tak, byłam w Polsce! Oczywiście, że sama. I nic mi się nie stało. Było cudownie.... Widziałaś może Jana? Jak to, mój brat ci nie pozwolił? Nikt nie może się z Janem widywać?! Ależ, coś z tym trzeba zrobić!

Usłyszała w odpowiedzi:

- Mamo, daj spokój. To beznadziejne.

Mary ścisnęła w ręce aparat fotograficzny i trzęsła się z emocji. Wsiadła z samochodu i ruszyła niezbyt szybko w stronę domu. Nie wyróżniał się niczym

specjalnym. Żywego ducha dookoła. Weszła na ganek. Zadzwoiła. Cisza. Zapukała. Nikogo. Zajrzała przez szybę do środka. Pustka, ciemność. A przecież tam był, Jan musiał tam być. Christine mówiła jej, że Jan nie rusza się z pokoju. Chodzi tylko po domu, a i to z trudem.

- Janie! - krzyknęła. Nikt nie odpowiedział. - Janie, byłam w Poznaniu, u Seweryny! Mam dla ciebie prezenty!

Cisza. Mary poczuła, że płacze. Z bezsilności, z żalu. Nie mogła z nim porozmawiać, a jej listy wracały do niej nie otwarte. To już pół roku, jak Charles zabrał Jana do siebie. Odebrał go jej. Był jego prawnym opiekunem - nic nie mogła zrobić.

Christine, albo któraś z jej koleżanek z *Silver Chain* odwiedzała Jana co drugi dzień. Mówiła, że Charlesa nigdy nie ma w domu, a Jana nikt poza nimi nie widuje.

- Janie! - zawołała jeszcze raz. Nic. Wiedziała, że tam jest. Siedzi sam, w półmroku. A może patrzy na nią z głębi pokoju. Boi się!?

Zawróciła, płacząc z rozczarowania. (...)

Medale przysłano z Londynu na adres Mary. Zabrała je do sklepu z militariami i zamówiła specjalną, elegancką kasetkę, oszkloną, do przechowywania i eksponowania odznaczeń. Była śliczna i droga, ale cóż z jej trudów, skoro nie mogła przekazać medali Janowi. Nie miała wstępu do domu jego opiekuna. Kogo prosić o pomoc?

Zwróciła się do Georga. Powiedział jej:

- Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jest tu Związek Kombatantów. Zadzwoń do ich prezesa, tu masz jego telefon.

Kiedyś George opowiadał jej o swoich skomplikowanych losach. Był więziony w rosyjskim łagrze, jego żona i dzieci pomarły z głodu. Na Syberii nie było co jeść. Wytłumaczył jej, że podczas ciężkiego oblężenia Leningradu przez Niemców, Rosja zgodziła się utworzyć polskie wojsko z uwięzionych przez nią polskich żołnierzy, pod warunkiem, że będą się oni bić z Niemcami. George wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z armią generała Andersa i potem walczył w Anglii jako pilot

myśliwca. Brał udział w bitwach powietrznych. Przeżył wojnę i przyjechał z transportem byłych żołnierzy z Anglii do Perth. Ożenił się tutaj, jego żona była piękną kobietą. Żyli dostatnio, George uczył na uniwersytecie, bo to był przecież jego przedwojenny zawód... Mary oglądała kiedyś jego medale za zasługi wojenne.

- Nie należysz do kombatantów? - zapytała teraz zdziwiona.

- Należę. Formalnie należę - powiedział i uśmiechnął się. - Ale to dla mnie nie najważniejsze w życiu. I lepiej, żebyś się z prezesem skontaktowała sama.

- Nie najważniejsze? - Zastanowiła się sekundę i zdecydowała drążyć temat do końca. Może dowie się wreszcie prawdy o tym, co czuje prawdziwy bohater, bo przecież kto jak kto, ale George był bohaterem.

- Co jest w życiu najważniejsze?

Podniósł brwi w górę.

- No, czym naprawdę się szcycisz, z czego jesteś najbardziej dumny, George?

Myślał chwilę, a potem powiedział:

- Nigdy w życiu nie jadłem darowanego chleba.

I nie wyjaśnił jej nic więcej.

Wieczorem zadzwoniła do Prezesa Koła Kombatantów. Zaprosił ją do udziału w zbliżającej się paradzie z okazji *Anzac Day*, w imieniu Jana.

- Ale to są brytyjskie medale, nie polskie...

- Nie szkodzi. W ten sposób pomoże pani zaakcentować udział Polaków w II Wojnie Światowej i ich zasługi dla ostatecznego zwycięstwa Aliantów - powiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem stwierdziła radośnie:

- Ma pan rację. Mój ojczym jest chyba jedynym żyjącym jeszcze w Australii polskim marynarzem. A kto wie, czy nie jedynym z tych, co podczas wojny pływali na *Błyskawicy*.

- No, widzi pani. Warto pokazać jego medale.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki)

*Anzac Day* przypada 25 kwietnia. Mary miała nadzieję, że starczy jej sił na kilkukilometrowy marsz. Ale przecież, skoro będą tam szli z nią ludzie 75-80-letni, to i ona wytrzyma. Podobała jej się myśl, że będzie reprezentować Jana w marszu ku czci Wolności.

Stawili się na miejsce wcześniej. Pogoda była, jak zawsze wczesną jesienią, piękna. Mary ubrała się w granatowy kostium, jedyny w jej garderobie, który nieco przypominać mógł mundur. Tony pomógł jej przypiąć medale na właściwym miejscu. Przydałby się beret, ale tak, pójdzie z gołą głową.

Mary czuła się niepewnie, kiedy szukała w tłumie polskiej grupy. Stali pod biało-czerwonym sztandarem, chyba ze dwadzieścia osób. "To i tak cud, że jest ich ciągle tylu", pomyślała. Sami mężczyźni. Znalazła prezesa, z którym rozmawiała przez telefon. Był to niewysoki, ale przystojny siwy pan z orlim nosem. Przedstawił ją wszystkim. Czuła się jak królowa, kiedy każdy z nich po kolei całował ją w rękę pochylając się nisko. Starzy, dumni mężczyźni. A potem, kiedy stała tak razem z nimi, poczuła się, jakby popełniła nadużycie. Bo co ona sama zrobiła dla pokoju na świecie? Nic. Tyle, że korzysta z niego, jest częścią tego świata, który oni stworzyli, ci dzielni ludzie dookoła. Rozmawiali z nią przyjaźnie, opowiadali o sobie, pytali o jej ojca czyli o Jana. Któryś powiedział:

- Gdybym nie słyszał, jak pani mówi, pomyślałbym, że jest pani Polką.

Uznała to za największy komplement. Wygląda jak jedna z nich, jakby była na swoim miejscu.

Tłum ruszył, najpierw powoli, a potem już marszowym krokiem. Mary nigdy przedtem nie maszerowała po wojskowemu. To nie było wcale takie proste. Mężczyzna idący przed nią wydawał się tańczyć, tańczyły jego dłonie i Mary tak się zapatrzyła, że zgubiła krok. Ktoś z tyłu podał rytm: "Lewa, lewa..." Spłoszona, wyrównała szybko.

Popatrzyła w twarze tych idących obok: uśmiechali się jak ludzie szczęśliwi.

- Była pani w Warszawie? - zapytał jeden z lewej strony. Potwierdziła.

- A ja, widzi pani, nie byłem. Po wojnie nie byłem w Polsce. Jak tam jest?

Zaczęła mu pokrótce opowiadać i zanim marsz się skończył, czuła, że jest jedną z nich, zaakceptowana, swoja, cenna.

Stojąca gdzieś z boku orkiestra kobziarzy przypominała jej, że jest Szkotką. Dumna, wyprostowała się jeszcze bardziej. Zobaczyła Tony`ego na chodniku, z jego kamerą, ale nie pomachała mu. Starła się utrzymać równy krok. Uśmiechnęła się tylko.

- W prawo patrz! - zakomenderował dowódca tego małego oddziału, którego była częścią. Zwróciła głowę w prawo i posłała uśmiech Gubernatorowi i Premierowi.

A w kilka minut później było już po wszystkim. Uścisnęła znów wszystkie dłonie powtarzając po polsku: "Dziękuję, dziękuję". Mówili jej, że im było miło, a ona im, że to dla niej zaszczyt.

Po paradzie zapakowała medale razem z kasetką w paczkę i wysłała przez pocztę, przesyłką poleconą, do odebrania przez pana Jana Rogackiego, do rąk własnych.

Charlie usiłował przekonać listonosza:

- Tu nie mieszka żaden pan Rogacki. Ten pan nazywa się Wilson!

Ale Jan w końcu podpisał dowód odbioru przesyłki swoim prawdziwym nazwiskiem.

Zobaczyła Jana dopiero w dwa dni po tym, jak przywieziono go ze szpitala, gdzie był operowany, do domu starców o nazwie "Złota jesień". Tu odtąd miał mieszkać.

Oczywiście, zawiadomiła ją Christine, nie Charlie.

- Złamał biodro - powiedziała.

- Jak?

- Pewnie upadł. Mnie przy tym nie było.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki) w domu opieki, na uroczystości wręczenia medali. Mary stoi za Janem.

Jan siedział przywiązany do krzesła, odurzony środkami przeciwbólowymi. Siwy starzec, wychudły, z długimi włosami, z paznokciami zawijającymi się jak szpony, nie przypominał tego człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej chodzącego po ogrodzie, który czytał książki i przełączał kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś filmu.

Powiedziała do Tony`ego:

- Widzisz? Sprzedał jego dom i miał się nim opiekować. On nie potrafi się opiekować nikim, nawet sobą!

Obudziła się jak zwykle nad ranem, jeszcze nim ptaki zaczęły śpiewać - i leżała cicho w ciemności.

Wczoraj spędziłam z Janem cały dzień. Dlaczego on musi tak cierpieć? On godzi się pokornie ze wszystkim. Ale przecież nie powinien się znajdować w tym strasznym miejscu.

Charlie wybrał ten dom starców tylko dlatego, że jest ode mnie bardzo daleko. Myślał, że nie będzie mi się chciało jeździć do Jana. Ale bardzo się pomylił. Nie zna mnie. Biedny Jan cierpi dlatego, że mój brat mnie źle ocenił. Wiem, jest i inna przyczyna: im mniej wyda na Jana, tym więcej zostanie dla niego. Przynajmniej on tak myśli.

Numer pokoju Jana, 13, wywołał u Mary gorzki uśmiech. Zawsze wierzyła w szczęśliwą trzynastkę, aż do dziś.

Była pora lunchu. Jan siedział grzecznie przy stoliku i... spał.

"Biedaku - pomyślała Mary - siedzisz tu jak stary ptak w klatce i czekasz, żeby cię nakarmiono. Tu można tylko umrzeć, a nie wrócić do życia."

Objęła go ramionami. Spojrzał na nią przytomnie:

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Mary wyjęła z kasetki spoczywającej w szufladzie i przypięła mu do koszuli wszystkie medale. Uśmiechnął się, kiedy mu zasalutowała.

Przez korytarzyki wypełnione stęchłym odorem starych ludzi powieźli go, w jego fotelu na kółkach, do sali ogólnej, dużej bawialni z masą różnych krzesełek ustawionych rzędem pod ścianami i z telewizorem w rogu. Było tu więcej światła i trochę roślin w donicach.

Pojawiła się pielęgniarka Grace, drobna blondynka, która była Polką, popychając na wózku jakąś staruszkę. Powiedziała:

- Cześć, Mary, twój ojciec mówił dziś o tobie.

“Cud, pomyślała Mary, po raz pierwszy uznano mnie tu za córkę Jana! Formalnie i oficjalnie, no, no.”

- Jak rozmawialiście? Po polsku? - zapytała. Grace w końcu była zatrudniona tu, żeby rozmawiać w rodzinnym języku z pacjentami takimi, jak Jan. W tym domu mieszkało kilku Polaków.

Grace pokręciła głową przecząco:

- Nie, on nie chce mówić po polsku. Nawet mnie to dziwi. Rozumie mnie, a zachowuje się tak, jakby chciał mnie powstrzymać, żebym do niego nie mówiła po polsku.

Mary poczuła ucisk w sercu.

- Mów do niego. On się boi. Myśli, że to coś złego. Jego opiekun nie zachęca go do mówienia po polsku. Nie chce uznać, że jego ojciec jest Polakiem. A on nie nazywa się James Wilson, tylko Jan Rogacki.

Grace zakręciła się przed Janem na palcach, zanuciła wysokim głosem coś wesołego, Mary nie zrozumiała słów, ale Jan się wyraźnie roześmiał! A potem mrugnęła do nich jeszcze raz i zniknęła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

Mary bywała u Jana raz na tydzień, we wtorek. Przyjeżdżała po śniadaniu. Siadała z nim na werandzie, albo zabierała go na spacer, pchając jego wózek dookoła domu.

Żałowała, że nie może mu szczerze powiedzieć tego, co myśli. A myślała mniej więcej tak:

“Biedny Janie, siedzisz tu jak orzeł oskubany z piór. Jesteś tam, gdzie wsadził cię Charlie. Gdzieś na drodze życia zagubiłeś swoją dumę. Ale wierzę, że jak zobaczysz, że Polska o tobie pamięta, jak dostaniesz polskie medale... Janie, będziesz jeszcze dumny!”

*Koniec*



---

# Miłość po szkocku. W Poznaniu.

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.*



Poznańskie Stare Miasto

**Anna Habryn**

## **Rozdział 6**

Poznań był zupełnie inny niż Warszawa. Stary, dziewiętnastowieczny. Wojna go widać nie zniszczyła. Wyglądał jak Chicago: miał szerokie ulice, małe, stare domy stały ciągle wzdłuż ruchliwych głównych arterii, a na jezdniach królował raczej transport publiczny, jak Mary miała się przekonać, dobrze działający i tani.

Niektóre ulice, z zieleńcami przy blokach mieszkalnych, z pralnią z boku, przypominały czynszowe kamienice Glasgow, tyle, że tutaj wszystkie mieszkania miały balkony, metr na dwa, niektóre wystawiające na pokaz obfitość kwiatów, inne z praniem udrapowanym na balustradach. Niższe balkony otoczone były drutem kolczastym, jak powiedziała jej później Seweryna, siostra Jana, przeciwko włamywaczom. Psów była masa, ale wszystkie w kagańcach. Kwiaty były wszędzie, na każdym rogu uliczni handlarze sprzedawali kwiaty. I - nie wiadomo dlaczego -

sprzedawali też świece wszystkich kształtów i rozmiarów. Wszystko to Mary notowała sobie w myślach, żeby opowiedzieć Janowi. Zresztą, zanim mogła rozejrzeć się lepiej, była na miejscu.

Taksówka zatrzymała się przed wielkim blokiem. Mary wzniosła właśnie oczy ku niebu: - jak na litość boską mam znaleźć właściwe mieszkanie?, kiedy od strony kierowcy pojawiła się wysoka, szczupła kobieta, zadała jakieś pytanie, szofer odpowiedział: "tak, tak", i wtedy Mary zobaczyła ją, Sewerynę. Duża, przystojna, choć niemłoda blondyna objęła ją ramionami powtarzając: "*Mari, Mari*".

- Udało mi się! - prawie nie mogła uwierzyć.

Szczupła pani to była Dorota, sąsiadka, która mówiła po angielsku. Niestety, mogła pozostać z nimi tylko dwie godziny, odlatywała bowiem do Londynu, w interesach.

- Proszę, witaj w moim domu - powiedziała Seweryna.

*Proszę* i *dom* Mary zrozumiała, *witaj* będzie musiała sprawdzić później w swojej biblii - słowniku, który stale ścisnęła w garści niby paszport.

Dom Seweryny zapraszał, stół był zastawiony, były kwiaty i świece, wino i lśniąca kieliszki. Było gorąco, może ze 30 stopni, toteż duże okna były otwarte i prezentowały całą piękną wystawę kwitnących w skrzynkach kwiatów. Salonik był przytulny. Na podłodze leżał bogaty, czerwony dywan. Ładna, duża szklana szafa z solidnego drzewa pyszniła się skarbami całego życia gospodarzy. W oknach wisiały piękne koronkowe firanki, a nakrycia poduszek na sofie były robione szydełkiem, tak samo jak śliczny koronkowy sweterek, w który była ubrana gospodyni. Mary rozejrzała się po ścianach: wszędzie reprodukcje świętych obrazów, szczególnie eksponowany papież Jan Paweł II.

Kuchnia była malutka, ale urządzona starannie, pełna słoików z przetworami. Mary poznała wypłowiały ręczniczek z kangurem, wiszący na ścianie - to był podarunek od Jana, sama go kiedyś wybierała w sklepie.

Do sypialni Seweryny wchodziło się z kuchni. Sypialnia była dosyć duża, ale gdyby nie olbrzymie drewniane szafy, byłoby tu jeszcze jakieś dwa metry przestrzeni ekstra. Toaleta była oddzielona od łazienki. Mary zdecydowała, że od tej chwili

będzie jej się podobało wszystko, bo czuła się swojsko i to było najważniejsze.

Otworzyła swoją torbę z podarunkami ze Szkocji. Nie miała w niej nic z Australii, bo w Australii nie myślała jeszcze o wizycie w Polsce. Przywiozła więc Sewerynie kruche ciasteczka, tradycyjne szkockie herbatniki, figurkę Potwora z Loch Ness. Wyciągnęła też szal w szkocką kratę i owinęła gospodyni dookoła szyi mówiąc: "zima". O, Mary znała nazwy pór roku i dni tygodnia po polsku, umiała też liczyć do dziesięciu, toteż jeśli zdarzyło jej się znać jakieś słowo, używała go z radością i bez względu na gramatykę. Seweryna - niestety - nie chciała próbować angielskiego, a szkoda, bo wiele słów było całkiem łatwych, podobnych w obu językach.

- Kawa, herbata?

Seweryna miała piękną opaleniznę, w złotym odcieniu, żadnego makijażu. W jej włosach, teraz siwych, przebijały pasma naturalnego koloru blond. Była postawną kobietą, i zachowywała się całkiem jak Jan, ruchy jej oczu i rąk były podobne. Mary aż trudno było uwierzyć, że upłynęło 59 lat, od kiedy Seweryna ostatni raz widziała swojego brata. Można by pomyśleć, że przeszli przez życie razem. Mary widziała kiedyś jej fotografię jako kilkunastoletniej dziewczyny, Seweryna była wtedy piękna. Zostać wywiezioną do Niemiec w wieku czternastu lat, to musiał być dla niej koszmar, dla jej matki też. Ale nie chciała wiele mówić o latach wojny. Powiedziała, że Rosjanie byli tak samo źli, potem temat został zaniechany.

Krzątając się po kuchni przy kolacji, Seweryna widocznie była szczęśliwa, bo śpiewała.

- Janek *syng*?

- Nie, nie, *just* „Marsz, marsz Dąbrowski”.

Seweryna roześmiała się.

- Janek *taniec*?

- Nie, nie, *Severina*.



Władysław Kolecki - pierwowzór Jana Rogackiego, bohatera powieści Anny Habryn „Miłość po szkocku” i jego pasierbica Mary, Perth, Australia.

Polska kolacja była za ciężka na jej żołądek. Kawa miała smak piasku, herbata była słaba, wino było smaczne, ale Mary spróbowała tylko trochę i pozostała przy wodzie. Gospodyni była naprawdę dobrą kucharką, jak zwykle Europejczycy, ale już następnego dnia próbowała zmusić Mary do jedzenia trzech posiłków dziennie. Mówiła:

- *Mari* chuda, Seweryna gruba.

Mary wiedziała, że „gruba” znaczy *fat*, a domyśliła się z jej bardzo opisowych gestów, że „chuda” znaczy *thin*. Porozumiewały się jak Robinson Crusoe z Piętaszkiem.

Mieszkanie mieściło się na półpiętrze (Seweryna została pewnie przez władze kwaterunkowe potraktowana ze specjalnymi względami z powodu swojej chorej nogi - myślała Mary) i miała widok na aleję drzew, a dalej na miejscowy park. Przez

następne dwa dni Mary spacerowała po nim, albo po prostu siedziała na ławce obserwując zwykłych ludzi, ciężko pracujących, nie bardzo różniących się od ludzi gdziekolwiek indziej na świecie, i dobrze.

Sierpniowe wieczory były ciepłe i pachnące. Łóżkiem Mary była kanapa, która rozkładała się całkiem zmyślnie. Mogła leżąc na niej oglądać telewizję, w której nadawano często angielskie programy, z polskimi napisami. Seweryna pisała wieczorami długie listy do Jana, żeby Mary zabrała je do Australii. Noce były krótkie, mrok zapadał około 10-tej wieczorem.

W piątek po kolacji Seweryna zadzwoniła do swojej starszej siostry Zofii i oznajmiła, że odwiedzą ją jutro, w sobotę, *tomorrow*. Mary nie mogła długo zasnąć. Myślała, że musi jutro wysłać Janowi kartkę z Poznania. O tylu rzeczach chciała mu powiedzieć... Rano Seweryna wstała wcześniej. Poszły po świeży chleb. Pobliskie sklepy były podobne do australijskich, sprzedawały wszystkie niezbędne rzeczy, ale na pewno nie były nawet w przybliżeniu takie duże, jak australijskie. Bogactwa nie było widać, tak samo jak biedy.

Śniadanie było zawsze dużym posiłkiem, dla biednej Mary niemożliwym do skonsumowania. Seweryna miała dobry apetyt.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, a łóżka pościelone, wyszły w poranne słońce. Przy sobocie centrum Poznania roiło się od ludzi. Jechały dwoma autobusami i obejrzały trochę miasta. Miejscowy targ był interesujący, masa świeżych owoców i jarzyn: czerwona kapusta, buraczki.

Znowu kwiaty, wszędzie sprzedawano śliczne kwiaty, więc kupiła duży bukiet dla Zofii. Seweryna kręciła głową z dezaprobatą na temat wydawania przez Mary pieniędzy. Nie pozwoliła Mary zapłacić za taksówkę na ostatnim etapie ich podróży do Zofii. Mary za to zapłaciła za taksówkę do domu w nocy, wracały bowiem zbyt późno, żeby skakać z autobusu na autobus. Siostry Jana mieszkały w sporej odległości od siebie.

Przyjęcie u Zofii było równie miłe, jak u Seweryny. Jak na jej wiek, była to bystra kobieta, bardzo interesująca, ciągle piękna, z oczami, które wydawały się przewiercać Mary na wskroś. Nie dałaby się nabrać nikomu. Była tam też pani o

nazwisku Mary Hoffman, Żydówka, kobieta nieco starsza od Mary, żona lekarza. Mówiła ona dobrze po angielsku i miała być tego dnia ich tłumaczem. Z Zofią mieszkała również jej pielęgniarka, młoda, ładna kobieta, na imię miała... Zofia. Siadły więc do rozmowy: dwie Zofie i dwie Marie.

To mieszkanie - one na wszystko mówiły „dom” - było bardzo ładnym, drogim apartamentem. Stół znowu ugiął się pod potrawami tradycyjnej polskiej kuchni. Była i wiśniówka, którą Mary zaczęła uważać za wódkę tak polską, jak szkocka była whisky.

Mary miała jakieś pamiątkowe drobiazgi również dla Zofii. Dostała w rewanżu polską lalkę w tradycyjnym stroju, łatwą do przewiezienia, śliczny prezent. Od Seweryny miała już podarunki równie piękne: była to paczka dla Jana i dwa kryształowe wazony, jeden dla Mary, drugi dla Mandy. Ten dla Mary był opleciony dookoła wzorem koloru bursztynu.

Młoda Zofia nie umiała po angielsku, ale jej oczy wyrażały wielką radość z obecności gościa. Mary Hoffman zaś powtarzała, jaka to z Mary odważna młoda kobieta. Młoda! - to Mary rozśmieszyło.

- Mam 62 lata! - powiedziała z dumą.

Przez następne kilka godzin zadawały pytania - i opowiadały.

- Zofia była kiedyś bardzo zdolną i przedsiębiorczą kobietą. Podczas wojny - powiedziała Mary - tłumaczka - Zofia miała swój własny sklep rzeźniczy. Jakoś potrafiła pomagać wielu ludziom, takim jak ja. Pewnie nie możesz sobie wyobrazić, że czasem ratuje się komuś życie dając mu kości i tłuszcz na zupę.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziała Mary.

Dzieci Zofii wszystkie zrobiły zawodową karierę. Seweryna natomiast nigdy nie została pobłogosławiona dziećmi. Jej mąż, chociaż nie znała go jeszcze wtedy, był w ruchu oporu. Nie chciały powiedzieć nic więcej, choć Mary miała nadzieję na jakąś bohaterką opowieść. Wyglądało na to, że nie całkowicie jej ufają. Kiedy zapytała, czy Jan jako chłopiec był „dobrze *boy*”, zajęły pozycję obronną. Żadnych żartów, w tej rodzinie zachowywano absolutną lojalność wobec dawno utraconego brata.

Zofia zaskoczyła Mary pytaniem:

- Dlaczego twoja matka nie pozwoliła Jankowi przyjechać do Polski na urlop?

Mary nie miała zamiaru bronić swojej matki, ale chciała pozwolić im myśleć, że Jan był w miarę szczęśliwy w życiu na obczyźnie. Gdyby chciała powiedzieć pełną prawdę, musiałyby wyznać, że jedyną osobą, która dawała Janowi szczęście, była jego córka, Sandra.

Ale one były podejrzliwe. Któryś z siostrzeńców Jana odwiedził Adelaide w Południowej Australii 12 lat temu i zadzwonił stamtąd do Sheili prosząc do telefonu Jana. Matka odmówiła, powiedziała, że Jan leży chory, jest starym człowiekiem i nie może jechać na wakacje, a w ogóle są na to za biedni.

Mary przypomniała sobie, że słyszała o tym telefonie. A teraz przyciskano ją do muru. Przecież nie mogła im powiedzieć: moja matka lubiła mieć całkowitą kontrolę nad Janem. Jedyny raz, kiedy jej mąż okazał silną wolę i postawił na swoim, to było wtedy, kiedy na horyzoncie, to znaczy w Londynie, pokazał się jego brat, w 1952 roku. Matka musiała się wtedy ugiąć, rzucić kochankę i wrócić do męża. - Do końca wam tego widać nie wybaczyła. A może też bała się, że Jan znowu zrobi jej jakąś niespodziankę?

Jak im to miała wyjaśnić? Lepiej było uniknąć odpowiedzi i zmienić temat. Na szczęście miała ze sobą kasetę wideo. Jeden z kuzynów w Anglii miał film z Sandrą, zrobiony w 1986 roku, dobry film rodzinny, z kilkoma ujęciami, w których widać było Jana. Mary pożyczyła tę taśmę, żeby rodzina Jana mogła ją obejrzeć.

Przeszły wszystkie do bawialni i siadły przed telewizorem. Młodsza Zosia wprost nie mogła się doczekać, żeby obejrzeć autentyczne życie w Australii. Na filmie uwieczniono baseny kąpielowe, pokoje do gier ze stołami do bilardu, łodzie... cały ten styl życia naprawdę wydawał się bardzo komfortowy, nie sfilmowano niczego wyglądającego ubogo. Ale starej Zofii, jak wytrawnemu psychologowi, nie umknęło nic. Nie podobał im się brat Mary, Wilson. Był bardzo przystojny, orzekły, podobny do matki, ale nie zachowywał się naturalnie, ani nawet grzecznie: ciągle wpychał swoją twarz przed obiektyw. Matkę też poddały ścisłej analizie, szczególnie kiedy zobaczyły, jak niełaskawie próbuje odepchnąć od siebie Jana. Biedny Janek. Kiedy



oglądały te właśnie sceny z Janem, płakały, śmiały się i machały do niego! Wszystko to wydawało się Mary nieco zwariowane, ale przecież oto pierwszy raz w życiu mogły zobaczyć swojego brata w Australii: chodzącego, śmiejącego się, wsiadającego i wysiadającego ze swojego samochodu, z jego piękną córką Sandrą.

Mary była zupełnie szczęśliwa. Wiedziała już, że jej przedsięwzięta bez zastanowienia podróż do Polski miała sens.

Ofiarowała im tę kasetę jako drogocenny podarunek. Powinna była ofiarować im ich brata, a nie tylko jego obraz, ale to była jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, małe zadośćuczynienie za to, że nie pomogła Janowi wcześniej w jego życiu.

Godziny upływały. Zdaje się, że wszystkie cztery były już bardzo zmęczone. Ale wyciągnęły jeszcze rodzinny album ze zdjęciami. Więc Mary zobaczyła matkę Jana, i ojca.

- Podobny jak dwie krople wody - wykrzyknęła, a one się zgodziły. Zobaczyła ich ładny dom na wsi, porządny, ceglany, piętrowy dom. Mieli kilka akrów ziemi, o których Jan opowiadał narzekając, że musiał na nich pracować po przyjeździe ze szkoły. Mieli mały sad, gruszki i jabłka, ale głównie warzywa. Ich życie - mówiły - jak życie większości Polaków, zostało wywrócone do góry nogami przez hitlerowców.

Rodzina nie wiedziała, czy Jan żyje czy nie, aż do roku 1947. Kiedy się dowiedziały, że *Błyskawica* wróciła do kraju, były zadowolone, że Jan został w Szkocji, najważniejsze, że żywy i bezpieczny. Mary słuchała, co mówią i czuła, że to wciąż nie była odpowiednia chwila, żeby sugerować im coś przeciwnego. Nie chciała oświecać ich więcej jak tylko mówiąc, że jej matka była samotną kobietą z dwojgiem dzieci. Zapytały, czy ich ojciec zginął w akcji. Nie mogła się pochwalić - w ich życiu nie było bohaterów wojennych - przed Janem!

Chciały dowiedzieć się wszystkiego o 50-ciu latach w jeden wieczór. Mary padała już z wyczerpania, trzeba było zakończyć ten wieczór. Niełatwo było jednak powiedzieć gospodyniom: zegnajcie.

Czuła się zaszczycona, że jest częścią ich życia i że łączy ich ten brat, którego nigdy nie zapomniały, jej polski ojciec. Cichy, poniżany, skromny człowiek, trzymany w

izolacji, z daleka od tych niewielu ludzi, których znał i kochał.

Rzeczy miały się zmienić, powoli, ale na pewno. Wierzyła, że ta jej podróż do Polski będzie początkiem tej zmiany.



Poznań

Następnego dnia, niedzieli, Mary oczekiwała z ciekawością. Miały z Seweryną iść do kościoła, a potem na cmentarz. Ale przedtem były "Wiadomości Poranne". Seweryna włączyła radio i krzyknęła, wyraźnie wytrącona z równowagi.

- Diana, Diana zabita!

- Nie, musiałam jej nie zrozumieć - pomyślała Mary zupełnie zdezorientowana. Ale nie potrzebowała wyciągać swojej „biblii - słownika”, bo właśnie podawano tę wiadomość w telewizji, a obrazy mówiły same za siebie.

Poczuła, że trzęsie się ze zdenerwowania: jak to się mogło stać? Jak to możliwe, to

nie fair! *Cinderella* nie może umrzeć, bajki się po prostu tak nie kończą, prawda? Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Diana bawiła w Paryżu, była chroniona, kochana, bogata, miała wszystko. I zginęła. Mary zaś była w Polsce - i nagle poczuła się niepewnie. Tak chciałaby się wypowiedzieć, wyrazić grozę, po prostu pomówić z kimś!

Kościół był wypełniony po brzegi. Kiedy wierni pogrążeni byli w głębokiej modlitwie, Mary myślała o Williamie i Harrym, synach Diany, a potem modliła się za swoją własną rodzinę, nie wiedzącą, gdzie ich matka przebywa.

Śmierć Diany uprzytomniła jej nagle niebezpieczeństwa, na jakie wszyscy ludzie - i ona też - są w życiu narażeni. Samoloty, pociągi, samochody, wszystko takie kruche.

Nie rozumiała obrządku, ale był on pełen patosu. Trzydziestu chłopców w chórze śpiewało do wtóru takiemu rytuałowi przy ołtarzu, że Mary, zafascynowana, zapomniała na chwilę o wiadomościach ze świata. Seweryna przyjęła komunię. Dookoła przesuwali się ludzie, starzy i bardzo młodzi, Mary badała ich twarze: te starsze miały w sobie coś mizernego, nie głód, ale czujny, błagalny wyraz, jak gdyby ci ludzie ciągle żyli w przeszłości, albo rozpamiętywali jakieś przeżyte okropności ciągle na nowo. Mary była pewna, że to nie był tylko wytwór jej fantazji. Była przekonana, że ich rozumie. Myślała z głębokim współczuciem:

- Nie mają zwyczaju wypowiadać się swobodnie. Przejeżdżający obok samochód policyjny przyprawia ich o niepokój. Minie jeszcze wiele lat, zanim będą wypowiadać się tak, jak my to robimy w Australii. Starzy ludzie zawsze patrzą pod nogi. Na pewno to też pozostało im z przeszłości, kiedy chodzili obawiając się o swoje życie. Takie wyrzeczenia, taki ciężar, znoszenie jednego nieprzyjaciela po drugim, myślę, że trzeba następnego pokolenia, żeby ich rany się zabiły.

Wyszły z kościoła, kupiły sobie zimny napój i lody i wsiadły w następny autobus, który zawiózł je na cmentarz. Wyglądało na to, że kiedy ludzie w Polsce wybierają się na piknik, wszyscy idą na cmentarz. Mary żałowała, że nie może zrozumieć napisów na nagrobkach i na tych pomnikach sięgających w niebo. Dużo tu leżało młodych ludzi, zmarłych w 1986, 87, 90, 91, zapytała, dlaczego?

- Piloci, bum, samolot niedobry - rozumiała: zła konserwacja, polscy piloci,

rosyjskie samoloty.

Mąż i matka Seweryny byli pochowani obok siebie. Grób Stanisławy Rogackiej był skromny w porównaniu z grobem męża Seweryny, ale oba dobrze utrzymane. Mary pomogła kupić kwiaty, Seweryna kupiła świece. Teraz zrozumiała, po co sprzedawano świece.

Seweryna odprawiła zwyczajowy rytuał: najpierw omiotła groby, potem je odkurzyła. Kazała Mary iść po wodę, *water*, po którą idąc trzeba było manewrować ostrożnie i z godnością między grobowcami. Wodę pompowało się ręczną pompą. Cieszyło Mary, że jest częścią tej kultury, i miała świadomość, że uczestniczy w tym jedyny raz w życiu. Więc pompowała tę wodę, jak normalna polska *pani*. Seweryna wylała część wody na groby, umyła je, reszta była potrzebna do kwiatów. Jej mąż nie żył od piętnastu lat, matka od dwudziestu, a groby ciągle były tak szanowane, jakby to wszystko było wczoraj. Kiedyś wyjaśniono Mary, że w Polsce obchodzi się dzień pamięci wszystkich zmarłych, 1-go listopada. Z tego, co widziała w tamtą niedzielę, wynikało, że ludzie w Polsce nigdy nie zapominają, gdzie spoczywają ich bliscy.

Był w Polsce jeden taki obyczaj, który obserwowała z zazdrością: rzucał się w oczy szacunek, jaki młodzi okazywali starszym. Miło było obserwować ich maniery i troskliwość, szczególnie w środkach publicznego transportu. Pomagali starym ludziom chętnie. Mary nigdy nie widziała, żeby młoda osoba siedząca w autobusie nie wstała, jeśli wsiadał jakiś starszy mężczyzna czy kobieta. Wydawało jej się, że to nie tylko dobre maniery, ale uczciwy, prawdziwy szacunek dla starszych, coś z czym się nie spotkała nigdzie indziej na świecie.

Nie widziała dookoła żadnych licznych rodzin. Dwoje lub troje dzieci wydawało się właściwą liczbą. W polskiej sytuacji kontrola urodzin musi być sprawą dramatyczną dla dobrych katolików. Bo to jest świat katolicki. Na papieża Jana Pawła II patrzy się jak na zbawcę Polski, a następny z kolei jest Lech Wałęsa, laureat nagrody Nobla, ojciec całej gromady dzieci.

Jechały przez peryferie Poznania, bezbarwne, miejskie dzielnice. Getta czynszowych budynków, identyczne egzemplarze cementowych bloków. - W Glasgow - przypomniała sobie Mary - próbowano tego po wojnie, ale dwadzieścia lat później zaczęto to burzyć. Ludzie chcieli od życia więcej, emigrowali do Kanady i Australii,

które obiecywały przestrzeń i radość życia. Ktoś wkrótce położy kres tym potwornościom budowlanym. Widać przecież, że ludzie tu czynią wysiłki, żeby wprowadzić w swoje życie naturę: parki, drzewa, kwiaty. Jakoś w końcu urozmaicą monotonię tych wysokościorców.

W tę niedzielę Seweryna zabrała Mary jeszcze do Ratusza, wspaniałego budynku stojącego na kwadratowym placu, brukowanym kamieniami i podobnym do placów Edynburga albo Paryża. Zdobily go stragany kwiatów. Turyści i miejscowi, wszyscy zgromadzili się, żeby oglądać, jak zegar na wieży wybija godzinę dwunastą. Z wybiciem zegara, w środkowej z trzech wieżyczek wyłoniły się dwa drewniane koziołki, skinęły tłumowi w dole, zwróciły się ku sobie, stuknęły rogami, raz, drugi, trzeci.... Ludzie głośno liczyli uderzenia. To przedstawienie trwało niecałą minutę. Dzieci się śmiały, trzaskały aparaty fotograficzne.

W poniedziałek Mary powiedziała Sewerynie:

- Nie, nie *more cooking* - dosyć gotowania. Zrozumiała.

W jakiejś pełnej urzędów dzielnicy Poznania znalazły miłą restaurację. Mary zamówiła "ryba", bo wiedziała, że to *fish*, Seweryna zjadła to samo, z sałatą, obie piły też polskie piwo. Owszem, było dobre. Kelner oczywiście również usłyszał całą historię o Mary. Ręce Seweryny były bardzo wymowne, jak u Włochów, Mary zafascynowana obserwowała ich gestykulację. Była pewna, że stanowiły śmieszna parę, kiedy tak machały rękami, pokazując sobie to lub tamto. Wróciły do domu o czwartej po południu. To tutejsze lato przypominało australijskie. Było ciągle gorąco i ani kropli deszczu. Mary wyciągnęła się na kanapie, a Seweryna poszła do kuchni. Niespokojna, po kilkunastu minutach Mary zajrzała do niej i... nie wierzyła własnym oczom: Seweryna zaczęła przygotowywać następny, wieczorny posiłek! Nie było na nią rady. Zdesperowana, usiłując spalić nieco kalorii, Mary zasugerowała miły, wolny spacer.

Seweryna podpierała się laską. Jej prawa noga była wiele razy operowana z powodu gruźlicy kości. W 1948 r. Jan posłał jej przez Czerwony Krzyż trochę penicyliny i ten antybiotyk uratował jej nogę. Dlatego czuli się jeszcze bardziej związani ze sobą. Jej miłość do niego była zresztą zawsze silna, podobno od dzieciństwa.

Było bardzo późne popołudnie. Młode matki pchały wózki ze swoimi dziećmi, a dzieciaki wszystkie wyglądały krzepkie i bardzo zadbane. Parki były pełne ludzi, młodych i starych, cieszących się tropikalną pogodą. Wracając mijały bardzo ładne, staroświeckie domy z wysokimi dachami. Ich drewniane drzwi z zasuwami były otwarte, żeby wpuścić nieco świeżego wieczornego powietrza. W ładnych ogrodach warzywnych, jabłonie i grusze sypały owoce na ścieżki. (...)

Wróciwszy do domu, Seweryna zagotowała i zabutelkowała owoce i odstawiła je na zimę, aby nic się nie zmarnowało. Mary patrząc na to pomyślała o Szkotach. To oszczędna rasa. Powiadają oni: - Bądź rozważny dzisiaj, bo jutro możesz potrzebować. Nie wyrzucisz, nie będzie ci brak. Seweryna była zapobiegliwa jak Szkotka. (...)

W czwartek rano, o szóstej, Mary miała wracać do Warszawy. Smutno jej było opuszczać Sewerynę teraz, kiedy już zaczynały zupełnie dobrze się porozumiewać.

O 4.45 rano Seweryna była na nogach, jak skowronek, usiłując zmusić Mary do zjedzenia śniadania.

- Co ona tam pitrasi w kuchni? Oczywiście: hamburgery, troskliwie owinięte w srebrną folię, do zjedzenia w pociągu. Poza tym, dała Mary butelkę wody święconej z wizerunkiem Madonny, i drugą, małą buteleczkę dla Mandy.

Cudowna była ta troskliwość Ciotki Seweryny.

Przybyły na stację mając w zapasie dużo czasu. Seweryna uparła się, że wsadzi Mary do przedziału. Inni pasażerowie spokojnie czytali swoje poranne gazety. Mary chciała się po prostu wtulić w swoje siedzenie przy oknie i przemyśleć ten czas spędzony w Poznaniu, ale Seweryna krzątała się dookoła jak kwoka z kurczęciem.

Rozległ się gwizdek. Mary uśmiechała się i błagała ją w duchu: - Seweryno, proszę cię, wracaj na peron. Było jej smutno: czy jeszcze kiedyś zobaczy tę dzielną kobietę?

Pociąg ruszył. Obie miały łzy w oczach.

Patrząc potem na przesuwany się za oknem krajobraz, Mary myślała o tym ostatnim tygodniu spędzonym wśród obcych, a tak gościnnych ludzi. Czy udało jej się

rozjaśnić ich życie, czy powiedziała im wystarczająco dużo, czy im się spodobała? Cóż, przynajmniej próbowała. W ciągu jednego tygodnia Seweryna dowiedziały się o swoim bracie więcej, niż w ciągu poprzednich pięćdziesięciu długich lat. Mary zrobiła, co mogła.

*Rozdział 7 ukáže się w poniedziałek 22 maja 2017 r.*

---

## **Miłość po szkocku. Podróż do Polski.**

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodszych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniła o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.*



Polski krajobraz

**Anna Habryn**

## **Rozdział 5**

Mary miała zaproszenie do Anglii, na wesele. Właśnie załatwiała sobie rezerwację biletu na pociąg, kiedy wpadło jej w oko: „Lot do Polski po obniżonej cenie”. A może by...? Czy starczyłoby jej odwagi? Problemy językowe skomplikują sprawę, poza tym siostra Jana, Seweryna, pisała, że wyjeżdża na wakacje nad Bałtyk, ale tak czy inaczej, Mary przecież miała w torebce jej numer telefonu!

Była świadoma, że jej zasób polskiego słownictwa nie wystarczy, żeby załatwić cokolwiek przez telefon, ale ten problem można było rozwiązać. W Kirkcaldy była duża grupa Polaków, a Jan był tam kiedyś dość znany i lubiany. Mary poszła więc do polskiego klubu w nadziei, że ktoś tam sobie jej ojca przypomni.

Wszystko tu wyglądało jak dawniej. Wróciły wspomnienia: zobaczyła oczyma wyobraźni Jana, młodego, wesołego mężczyznę przy karcianym stoliku, pijącego z innymi wiśniówkę. To był bardzo patriotyczny klub, bardzo polski. Na wysokim maszcie przed budynkiem powiewała – tak jak dawniej – polska flaga, na



cementowym postumencie rozpościerał skrzydła Biały Orzeł. Pod pomnikiem generała Sikorskiego, jak przed laty i jak zawsze, stał wazonie bukiet białych i czerwonych kwiatów.

Poszukała kierownika, przedstawiła mu się. Wyjaśniła, że chciałaby pojechać do Poznania, do ciotki, ale nie dogada się z nią przez telefon, chociaż ciotka zna jej głos, więc może on zechciałby porozmawiać w jej imieniu?

- Ależ to żaden problem, proszę pani.

- Oh, bardzo panu dziękuję - powiedziała.

Ta rozmowa telefoniczna była zabawna i bardzo kosztowna. Seweryna była w domu. Mary odezwała się pierwsza, przedstawiła się, a potem oddała słuchawkę „tłumaczowi”. Powtarzał jej głośno po angielsku, co po tamtej stronie mówiono po polsku, a wszyscy klienci baru słuchali tego z wielkim zainteresowaniem. Gospodarz brylował w roli tłumacza, błyszczał elokwencją i po jakichś dwudziestu minutach Mary wreszcie była pewna, że Seweryna przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Z Manchesteru miała lecieć do Amsterdamu, a potem do Warszawy.

Gorączkowo usiłowała nauczyć się trochę więcej polskiego. W każdej wolnej chwili wypisywała ze słownika polskie słówka i ich angielskie odpowiedniki.

Jej rodzina w Anglii uważała, że Mary zwariowała. Co będzie, jeśli wsiądzie do niewłaściwego samolotu? Czy będzie umiała zatelefonować? Im bardziej byli negatywnie nastawieni, tym bardziej Mary się utwierdzała w swoim postanowieniu. To była jej szansa sprawdzenia się.

Tak czy inaczej, było już za późno na wątpliwości, jej podróż do Warszawy była opłacona. (...)

.Dwie godziny przed odlotem, była naprawdę w drodze do Polski.

Mary siedziała blisko kabiny załogi. Samolot nie był pełny. Lot miał trwać trzy godziny, niedługa podróż. Wyjęła swój polski słownik i zaczęła wypisywać wszystkie te podstawowe słówka, których będzie musiała użyć: bilet, proszę, itp.

Stewardessa zapytała:

- Skąd pani pochodzi?
- Z Australii - odpowiedziała Mary - ale z urodzenia jestem Szkotką.
- O - ucieszyła się - nasz pilot jedzie do rodziny w Australii. Do Perth, czy pani tam była?
- Mieszkam tam.

Stewardessa zniknęła i wróciła z butelką szampana.

- Dziękuję - rzekła Mary - czy mogę ją zabrać do mojej ciotki w Poznania?
- Damy pani drugą. Kapitan chciałby z panią porozmawiać.

Czuła na sobie oczy wszystkich pasażerów, kiedy dziewczyna prowadziła ją do kabiny załogi. To było naprawdę podniecające. (...)

Zniżali się do lądowania. Miała wylądować na polskiej ziemi!

Na prawo od skrzydła samolotu pojawił się napis: WARSZAWA. Pięknie czerwony i biały, wspaniały, aby widzieli go wszyscy wracający synowie Polski. Och, gdyby Jan mógł być tu razem z nią! Włożyła w patrzyenie całe serce, musiała ten moment wchłonąć, żeby przekazać go staremu człowiekowi, jej ojcu, tam w Perth. (...)

W taksówce, była już sama. Przejechali Wisłę. Ulice wydawały się Mary podobne do Paryża, podobały jej się ozdobne budynki. Jakieś muzeum przypomniało jej Edynburg. Ludzie wyglądali na zdrowych i zabieganych. Młodzi ludzie, szczególnie nastolatki, byli na ogół jasnowłosi, dobrze zbudowani, a dziewczęta miały w sobie coś bardzo polskiego, cokolwiek to było, wyglądały inaczej niż Australijki czy Szkotki, były bardzo kobiece, pięknie opalone, o złotej skórze.

Dworzec kolejowy wydawał się tkwić w środku wielkiej przelotowej arterii. Mary zapłaciła kierowcy 30 złotych, co - pomyślała - było tanio, *cheap*, i udała się prosto na stację. Wszystko wydawało się takie proste. (...)

Pociąg był śliczny, czysty, wygodny, dla niepalących. "British Railways, ucicie się od Polskich Kolei". Jan mówił jej, że w Polsce mieli wspaniałe pociągi, ale - Boże, to było w 1938. "Widocznie pociągi są tu ważną rzeczą, skoro koleje dorównują ciągle wspomnieniom Jana."

Czuła się trochę zmęczona, ale zdecydowanie nie zamierzała spać. Podano gorącą herbatę i kawę. Wybrała to drugie, a do tego polskie ciastko. Za darmo. Była naprawdę pod wrażeniem. (...)



Polski kajobraz

I oto nareszcie została cudownie pozostawiona sam na sam z krajobrazem. Mijali osobliwe miejsca, chłopci na polach czasem podnosili spojrzenie na przejeżdżający pociąg. Trwały żniwa, koszone pola. Nie widziała wspaniałej żniwnej maszynery, jaką mają farmerzy w Australii. Widziała natomiast konny zaprzęg i starego chłopca idącego za pługiem. Widziała traktory, ale na polach było dużo więcej ludzi w porównaniu do tego, co widzi się w Australii.

Pociąg zwolnił bieg, mijając jakąś bocznice kolejową, pełną starych wagonów towarowych. Mary poczuła nagle, jakby się cofnęła w czasie o 50 lat. Gdzieś w jej

pamięci tkwiło ciągle bardzo żywe dziecięce wspomnienie Polski z wojennych kronik filmowych. Były tam właśnie wagony, stare wagony o drewnianych ścianach, takie jak te, ciągle jeszcze tkwiące na jakichś bocznych torach. W jej pamięci uwoziły one ze stukotem ludzki ładunek, trzymany przemocą, uwięziony w skrzyniach na kołach. Ich przeznaczeniem było piekło. Wyobraźnia - raz pobudzona - nie dawała Mary spokoju. Patrzyła przez szybę jak urzeczona. Nie śniła, czuła w przestrzeni za oknem duchy unicestwionych ludzi, ciągle nie mogące spocząć, błakające się dookoła. Widmowo przepływały za oknem wioski budzone w środku nocy, czuła ich strach, brzmiało echem wołanie o pomoc, którego nie chciano słyszeć. Pięć długich lat podporządkowanych "diabłom z Niemiec". Te myśli ciągnęły się, kilometr za kilometrem. Ta ziemia była tak płaska, tak łatwo dostępna dla czołgów, ciężarówek, nawet rowerów. Warszawa była dokładnie na drodze na wschód, w prostej linii od Berlina.

Chyba usnęła. Obudziła się, kiedy dojeżdżali do Poznania. Teraz domy były podobne do przedmieść Paryża lub Szkocji. Widziała stare kamienne budynki, domki dla robotników, które wytrzymały próbę czasu. Nowe trafiały się rzadko, ale można je było łatwo rozpoznać po kolorowych dachówkach.

Pasażerowie zaczęli się ruszać. Młody człowiek zaoferował się, że poleci taksówkarzowi jechać pod adres, który Mary trzymała mocno zaciśnięty w ręce. Kiedy schodzili na peron, jego śliczna dziewczyna już czekała. Objęli się, jak to czynią zakochani, a Mary zatrzymała się z tyłu, żeby nie przeszkadzać im w tej ich chwili miłości. Młody człowiek uwolnił się z uścisku i powiedział:

- Ta pani jest Australijką.

Dziewczyna potrząsnęła ręką Mary i zarzuciła ją pytaniami, a jej chłopak z twarzą zarumienioną z emocji, nie mógł się doczekać, żeby wsadzić Mary do taksówki. Pomachała do nich ręką przez tylną szybę:

"Żegnajcie, młodzi kochankowie, Bóg z wami, wolni żeby kochać, wolni żeby żyć."

*Rozdział 6 ukaże się w poniedziałek 8 maja 2017 r.*

---

# Miłość po szkocku. Wielka polityka.

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.*



Australia

**Anna Habryn**

## **Rozdział 4**

Jan ciężko przeżył śmierć żony. W ogóle przestał wychodzić z domu, jakby świat dookoła był przerażający i nie do zniesienia. Mary przychodziła do niego kilka razy w tygodniu, żeby posprzątać i ugotować mu coś smacznego - inaczej jadł byle co i byle jak. Zakupy robił dla niego Charlie, on też zarządzał wszystkimi pieniędzmi i płacił wszystkie rachunki. Ale Charlie nie siedział z Janem długo, nie rozmawiał z nim. Nikt w rodzinie nie był przyzwyczajony do rozmawiania z Janem, Jan po prostu był: jak tapeta na ścianie, albo jak stół w kuchni - kto by na niego zwracał uwagę! Teraz więc Mary surowo zapowiedziała swoim dzieciom, że oczekuje od każdego z nich odwiedzania Jana raz w tygodniu.

- I trzeba z nim rozmawiać, jak najwięcej. Wychodzić z nim na spacer, do parku na rogu, albo chociaż do ogrodu.

Ogród zarastał chwastami. Mary miała pełne ręce roboty.

Któregoś dnia siedzieli z Janem na werandzie i patrzyli na spaloną słońcem trawę dookoła barbeque. Nagle Jan powiedział:

- Moi koledzy wrócili do Polski. Na „Błyskawicy”. Wszystkich ich zamknęli do więzienia.

To był pierwszy raz, kiedy Jan poddał jej jakiś temat do rozmowy. Podtrzymała ten temat skwapliwie. Wreszcie się ożywił!

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Seweryna pisała.

Od swojej najmłodszej siostry, Seweryny, Jan otrzymywał listy nieczęsto. Tuż po wojnie wysłał jej jakieś lekarstwa, a potem dostawał od niej kartkę - zbiorowe życzenia od całej rodziny - na każde Boże Narodzenie.

- Wiesz - powiedziała Mary - wszyscy dawni żołnierze i marynarze maszerują co roku na *Anzac Day* w pochodzie, obwieszeni medalami. Polacy też. Ty też byłeś ranny na wojnie, należy ci się odznaczenie. Dlaczego nigdy nie starałeś się o nie?

Powiedział z powątpiewaniem:

- Nie wiem, czy mi się należy.

- Trzeba się dowiedzieć!

- Sheila mówiła - jego oczy się zaszkliły - że to głupi pomysł. Nie wypada dopominać się o medal.

- Jak to, nie wypada! Kto wie, że ty jesteś w Australii? Może cię szukali, żeby ci dać ten medal, a nie mogli cię znaleźć.

Poweselał, ale pokręcił głową:

- Nie warto. Gdyby Sandra żyła... to jeszcze.

Wracając do domu Mary myślała:

*Gdyby Sandra żyła... na pewno dowiedziałaaby się, czy ojcu nie przyznano jakichś odznaczeń. Ale Sandry nie ma. A matka uważała, że to głupie. No cóż, zobaczymy, czy rzeczywiście!*

Zaczęła od kilku telefonów. Pierwszy - do Ligi Emerytowanych Wojskowych, *RSL*. Drugi - do Ministerstwa do Spraw Weteranów. Podała im kilka podstawowych informacji - i otrzymała adres w Anglii.

Zdała sobie sprawę, że informacji ma za mało. Czy Jan zdoła sobie coś więcej przypomnieć? Odtąd, ile razy sprzątała jego dom, a on siedział w fotelu i patrzył na jej krzątanie, jednocześnie zadawała pytania. Jednego dnia, akurat kiedy nurkując pod stołem usiłowała sprząć z dywanu resztki jedzenia, usłyszała niebywałą historię:

- Kiedy to mogło być...? Eskortowaliśmy *Queen Mary* przez Atlantyk, z Ameryki do Europy. To był duży konwój. Jeden z małych okrętów zderzył się z nią, nie zrobił dziury pod wodą, ale wyżej, uszkodził jej burtę. Byliśmy blisko i wszystko widzieliśmy.

- Coś podobnego! Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Kapitan zebrał nas wszystkich i kazał przysięgnąć, że nikt nic nie powie. Sekret.

- Pewnie! - Mary zafascynowana tą myślą wychyliła się spod stołu - gdyby Niemcy się dowiedzieli! Śmiech na cały świat. Taka okazja dla propagandy!

- Nikt słowa nie pisnął. Gazety też nie miały prawa tego podać.

*Ale w archiwach - pomyślała Mary - gdzieś w brytyjskich archiwach jakaś wzmianka o tym pewnie jest?*

- W którym to było roku? - zapytała. - W 1942? W 43?

Bezradnie wzruszył ramionami:

- Nie pamiętam.



Nikt nigdy nie zachęcał Jana do snucia marynarskich opowieści, tylko ona, Mary. A teraz, raz już zacząwszy, opowiadał chętnie:

- Wiesz, co to znaczy *Błyskawica*?

- *Lightning* - odpowiedziała, bo to już dawno zdążyła sprawdzić w słowniku. - To musiał być bardzo szybki okręt, prawda?

- O, bardzo dobry okręt, bardzo szybki. - Zatrzymał się, zmarszczył brwi, a potem rzekł: - Raz ścigaliśmy się z Niemcami. Próbowali nas dogonić. To był *Graf Spee*, miał dużo więcej dział, niż my. Dwa dni siedział nam na rufie, próbowali strzelać, ale byli za daleko i nie mogli się zbliżyć! W końcu my byliśmy szybsi.

- Gdzie to było?

- Na Atlantyku. Dopłynęliśmy do Montevideo, żeby zatankować paliwo i wziąć wodę i żywność. Patrzymy - a tu *Graf* też wpływa. Cała załoga na burcie. Udali, że nas nie widzą. To był neutralny port. Drugiego ranka już ich nie było. I już ich nigdy nie spotkaliśmy.

Od razu tego samego wieczora Mary sprawdziła w „*Britannice*” - i owszem, był tam hasło *Graf Spee*. To był słynny okręt, robił 25 węzłów. Znalazła całą historię o tym, jak to w 39-tym roku cała grupa angielskich ścigaczy próbowała bezskutecznie pokonać *Grafa Spee*, gdzieś niedaleko Montevideo. Potwierdzało to opowieść Jana. Jeśli *Błyskawica* naprawdę potrafiła wystrychnąć *Grafa* na dudka, no, no...

Minął miesiąc - i Mary dostała z Anglii krótki list z prośbą o przysłanie im świadectwa urodzenia Jana. Skąd je wziąć? Jeśli nawet było gdzieś w rodzinnych papierach, to Charlie trzymał je pod kluczem. Jej brat był wściekły, kiedy Jan wspomniał mu o jej wysiłkach.

- Bzdury! - powiedział podobno. - Ja nie będę do tego przykładał ręki. Przecież ci to do niczego nie potrzebne. Mary tylko robi zamieszanie.

Mary zdecydowała, że napisze do Seweryny. Tylko... jak? Nie znała żadnych Polaków w Perth, nikt nie mógł jej pomóc. Poszła więc do biblioteki miejskiej, wzięła z półki największy słownik, jaki tam mieli i napisała krótki list. Wyszedł z tego zlepek

polskich słów pozbawiony wszelkiej gramatyki, ale jakimś cudem Seweryna pojęła, o co jej chodzi – i przysłała żądany dokument! Dołączyła do niego list... i tu Mary była w kropce. Siedziała nad nim godzinami, ale nic nie mogła zrozumieć, oprócz „dziękuję”: *thank you*.

Znowu zaczęła nękać telefonami różnych znajomych i nieznajomych ludzi, aż ktoś skontaktował ją z George`m. George, starszy pan i były żołnierz, miał poczucie humoru i szacunek dla ludzi, którzy naprawdę czegoś chcą. Cierpliwie tłumaczył jej listy, które Mary przywoziła mu odtąd co kilka tygodni. Jan nie mógł sobie z nimi poradzić. Mary ze zdziwieniem zauważyła, że Jan niewiele z listów Seweryny rozumie.

Przechodząc przez frontowy trawnik pomyślała: *Znowu trzeba podlać. Jan w ogóle już o to nie dba. Lato się kończy. Już niedługo będzie więcej deszczu, to dobrze. Zaraz poszukam ogrodowego węża i zmuszę Jana, żeby wziął się do roboty.*

Otworzyła drzwi własnym kluczem i weszła do środka.

- Halo, Janie, jestem! - zawołała. - Trzeba otworzyć okna, bo straszny tu zaduch.

Leżał na łóżku w sypialni, nie ruszył się na jej widok. Patrzył w sufit.

- Janie - dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

- Mam list z Londynu, zaraz ci przeczytam. Wstaniesz?

Podniósł się powoli, z trudem, usiadł. Siadła obok i wyciągnęła z torebki urzędowe pismo z ozdobnym nagłówkiem.

- Tu piszą - powiedziała - że dziękują za przysyłanie im dokumentów. Sprawdzili wszystko w *War Office* i tutaj masz - pomachała triumfalnie arkuszem papieru - formularz i musisz to wypełnić, bo to przecież ty występujesz o uznanie wojennych zasług, nie ja, i musisz wszystko podpisać - o, tutaj. Widzisz, sprawa jest w toku.

Patrzył na papiery i nic nie mówił. (...)

\*\*\*

*Silver Chain* był instytucją państwową. Pielęgniarki przyjeżdżały doglądać starych i chorych ludzi. Kosztowało to niewiele albo nic – państwo dopłacało.

- Ależ ty nie jesteś niedołążny! Całkiem dobrze sobie radzisz. Ja przecież ci sprzątam. Masz czyste ubrania i pościel, bo robię i pranie i prasowanie!

- Charlie nie chce, żebyś tu przychodziła.

- On mi nie może zabronić. Jesteś moim ojcem tak samo, jak jego. Mam prawo i obowiązek się tobą opiekować. - Objęła Jana ramieniem. - Chyba, że ty też nie chcesz, żebym przychodziła?

Pogładził jej rękę.

- Jesteś dobra dziewczyna. I Mandy też przychodzi. A Bill podarował mi nową laskę – pochwalił się. Mary rozjaśniła się. Powiedziała:

- Widzisz, taka powinna być rodzina. A ja mam dla ciebie niespodziankę. Nie, nic do jedzenia. Tutaj jest numer telefonu do Poznania, do Seweryny. Chcesz, to zadzwonimy?

Patrzył z niedowierzaniem, jakby przestraszony.

- No, chcesz porozmawiać z Seweryną?

Zrobił ruch, jakby chciał ją powstrzymać, ale już brała się do wykręcania numeru. Masa była tych cyfr, potem długi ciąg jakichś brzęczeń i odgłosów, wreszcie sygnał – i kobiecy głos po tamtej stronie:

- Halo?

- *Severina*? Tu Mary. Mary! Australia. Mówić Jan. Brat. Jan.

I wepchnęła oszołomionemu Janowi słuchawkę do ręki. Wziął ją niepewnie. Z tamtej strony zaszumiało, rozświergotało się radosnym potokiem słów. Jan rozjaśnił się, uśmiechnął i słuchał, słuchał... Potem chrząknął i głosem, który brzmiał inaczej, nie jak jego własny głos, powiedział kilka słów, miękko i łagodnie, niepewnie i cicho. Potem powtórzył to głośniejszym głosem. A potem oddał słuchawkę Mary. Powiedziała do Seweryny:

- Dziękuję, *Severina*. My kochać Jan. Dziękuję. Do widzenia. Do widzenia.

A potem złapała Jana w pól i próbowała tańczyć z nim po mieszkaniu, ale był to wysiłek beznadziejny, bo Jan był ciężki i ruszał się jak słoń.

\*\*\*



Konrtorpedowiec „Blyskawica”.

Dwa dni później Jan zadzwonił do Mary. To była cudowna niespodzianka, bo Jan nigdy nigdzie nie telefonował.

- Mary - powiedział - chcę jechać do Poznania, do domu.

Popędziła do niego następnego dnia jak na skrzydłach, ale Janowi jakoś przeszedł już wczorajszy zapal.

- Trzeba załatwić ci paszport. Pomogę ci.

Pokręcił głową.

- Dlaczego nie? O co chodzi?
- Wilson mówi, że nie mogę jechać.
- Janie, możesz robić, co tylko zechcesz! - Chciało jej się płakać. - Jesteś wolnym człowiekiem, ty sobą sam rządzisz, Janie! A paszport załatwia się bardzo prosto. Trzeba tylko dwa zdjęcia, gdzieś przecież masz te robione zeszłego roku...?

Na podjazd wjechał mały niebieski samochód.

- *Silver Chain* - powiedział Jan.

Z samochodu wysiadła duża kobieta o energicznych ruchach. Płaskie obcasy, długi, mocny krok. Weszła, uścisnęła rękę Mary i przedstawiła się:

- Jestem Christine.

Mary spojrzała uważnie: piegowata, szeroka twarz, białe zęby, roześmiane oczy.

- Szkotka?
- Szkotka.
- Cudownie, że właśnie przyjechałaś. Poświadczysz nam prawdziwość tych zdjęć?

Christine popatrzyła na zdjęcia i na Jana:

- Ten sam. Poświadczę.

O nic więcej nie pytała, a Mary poczuła, że w Christine będzie miała sprzymierzeńca.

Przeciętny Australijczyk mógł złożyć podanie o paszport na każdej poczcie. Urzędnik pocztowy poświadczał zgodność podpisu - i dalej sprawa załatwiała się sama, a gotowy dokument listonosz przynosił do domu.

W wypadku Jana rzecz nie była taka prosta. Mary napisała do Ministerstwa Imigracji uprzejmy list z zapytaniem, czy będzie można uzyskać paszport na podstawie kopii polskiego aktu urodzenia oraz angielskiego *War Record* czyli świadectwa uczestniczenia w II Wojnie Światowej? Taki dokument z wyliczeniem

wszystkich okrętów wojennych, na jakich Jan pływał podczas wojny, otrzymała z Londynu razem z wiadomością, że Janowi przyznano pięć odznaczeń. Pędziła wtedy do Jana w deszczu, po śliskich jezdniach, przekraczając szybkość. Od progu wołała:

- Janie, przyznali ci pięć medali! Nie jeden - pięć!

Teraz mogła tego dokumentu użyć do przekonania australijskich władz o tożsamości Jana. Wiedziała jeszcze, że Jan Rogacki był naturalizowany w UK w roku 1959. W liście pytała, czy wolno jej będzie występować w imieniu jej ojczyzna, który jest starym człowiekiem.

Któregoś ranka miły żeński głos zakomunikował jej przez telefon:

- Proszę nam przysłać wszystkie posiadane przez pana Rogackiego dokumenty i podpisany przez niego kwestionariusz paszportowy. Nie powinno być z tym żadnych trudności.

Dwa tygodnie później Christine powitała ją na progu domu Jana z dziwnym wyrazem twarzy.

- Znowu jakieś obraźliwe listy do mnie od mego brata? - zapytała ją Mary. Christine bowiem była świadkiem tej całej wojny nerwów i nie ukrywała przed Mary, że motywy dziwnego zachowania młodszego pana Wilsona są dla niej niepojęte, a jego formy - niegodne dżentelmena.

Tym razem poprowadziła Mary bez słowa do jadalni, gdzie na ścianie, na eksponowanym miejscu wisiał oprawiony w ramki dokument oświadczający, że *żaden podpis złożony przez Jamesa Wilsona nie ma mocy prawnej, gdyż został on urzędowo uznany za osobę o zmniejszonej poczytalności, na podstawie opinii autorytetów medycznych.*

- Co to jest?! - krzyknęła Mary z niedowierzaniem. Christine powiedziała spokojnie:

- Pan Charles Wilson sprowadził lekarza, który odbył rozmowę z Janem, wydał odpowiednią opinię o jego zmniejszonej poczytalności - i oto rezultat.

- Co za podłość - powiedziała Mary ze ściśniętym gardłem. - Gdzie jest Jan? Co on

na to?!

- Obawiam się, że nie do końca docenia wagę tego, co się właśnie stało. I raczej nie wyprowadzaj go z błędu, Mary. To jest stary człowiek, po co miałby być bardziej nieszczęśliwy.

Mary poczuła, że jej duszno.

- Kto był przy tej rozmowie?

- Nie wiem. Ja nie. Pan Charles sam mi o tym powiedział.

- Podły, och, podły! Wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać. Na pewno nikt biednego Jana nie uprzedził i nie wyjaśnił mu, o co chodzi. On jest taki nieśmiały wobec obcych ludzi! A do tego - przecież on tak niewiele mówi - i angielski nie jest jego rodzimym językiem - och, przecież on naprawdę nie jest niepoczytalny!!!

- Wszyscy wiemy, że nie jest. Ale z tego wynika, że nie może decydować o sobie. Obawiam się, Mary, że nie możesz już nic zrobić.

- Och - krzyknęła Mary z furią - jeszcze zobaczymy! Na razie - pobiłam go o tydzień! O siedem dni.

*Rozdział 5 ukaze się w poniedziałek 24 kwietnia 2017 r.*

---

## **Miłość po szkocku. Australijskie początki. Nowy Rok 1968.**

*Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący*

*na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.*



Fremantle, ulica, lata 60., fot. pinterest.com

**Anna Habryn**

**Rozdział 3**



Mary stała przy relingu z Mandy na rękach i patrzyła w dół. Gdzieś tam, na nabrzeżu, w sporym tłumie oczekujących, byli jej bliscy. Nie mogła odróżnić żadnej twarzy. Poranne słońce było zbyt jaskrawe. Statek stał już od wczorajszego wieczora przycumowany do nabrzeża, ale dopiero teraz opuszczono trapy i na pokładach zaczęła się bieganina.

Pasażerowie już od kilku dni przejawiali pewne zdenerwowanie i rozdrażnienie. W miarę zbliżania się do Fremantle zaczynały w nich kiełkować jakieś wątpliwości, bo słyszało się zapewnienia, że po odpracowaniu dwóch lat kontraktu na pewno wrócą do domu, do Anglii czy Szkocji.

A teraz cały tłum stał i czekał, przestępując z nogi na nogę. Głośniki jeszcze raz przypominały, jakie dokumenty należy przygotować, w jakim kierunku się udać. Grantowie stali z boku, nie spieszyli się.

Bill krzyknął:

- Jest La-la! - i zaczął machać ręką. Mary wyteżyła wzrok. Tak, chyba matka, w białym kapeluszu. Obok drugi, podobny - Sandra! Jest i Jan. Poczowała się szczęśliwa. Tam, na tej ziemi, czeka na nich rodzina, najbliżsi, dom. Wreszcie są znowu razem. (...)

Pierwszym zaskoczeniem było zimno. Kurczyli się w swoich wiosennych płaszczkach. Mary myślała: *dobrze, że zapakowałam wszystkie swetry.*

Drugie zaskoczenie: dom matki i Jana był ciasny. Miał dwie duże sypialnie i mały pokój urządzone od tyłu, na werandzie wychodzącej na ogród. Był na pewno za mały dla dziewięciu osób. Po uroczystym obiedzie Sandra wyniosła się spać do koleżanki i matka była z tego powodu wyraźnie niezadowolona.

- Nie przejmuj się - powiedziała siostra do Mary - nie musi ci być przykro. Bardzo się cieszę, że jesteście. A spanie u koleżanki to dodatkowa atrakcja - i roześmiała się szczerze. (...)

Rano obudziły ją odgłosy ostrożnej krzątaczki. Wciągnęła na siebie szlafrok i kuląc się z zimna powędrowała do kuchni. Jan szykował sobie kanapki do pracy. Za oknem było zaledwie szaro. Uśmiechnął się do niej:

- Jak się spało? Woda gotowana, zrób sobie śniadanie. Ja już muszę iść, bo mi ucieknie autobus. (...)

Nasypała sobie kawy, nalała wody do kubka i po wyjściu Jana siadła przy stole. W kuchni było dosyć ciepło. Nie chciała nikogo budzić o tej szarej godzinie. (...)

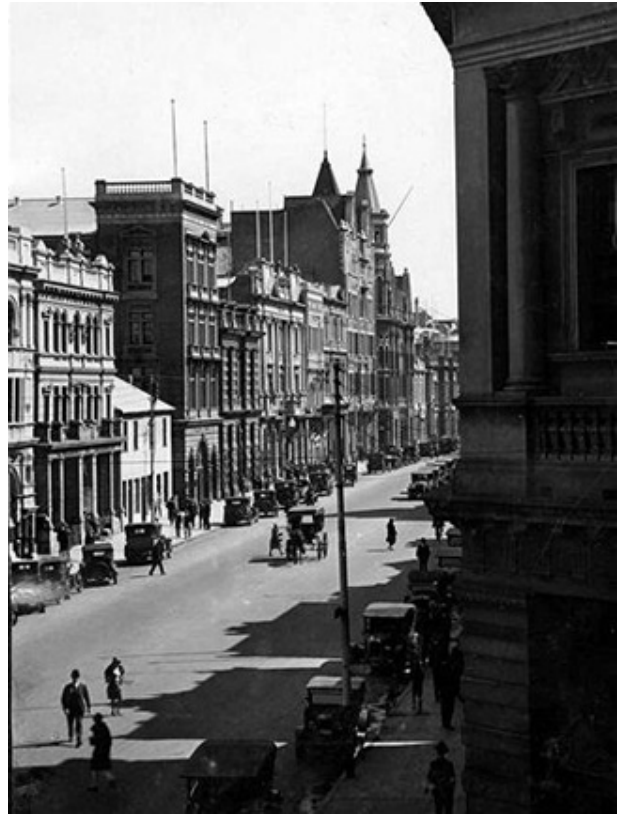
Dzieci pojawiły się w kuchni dość wcześnie, głodne i gotowe ruszać na zwiedzanie okolicy. Mary poszperała w szafkach i w lodówce, zrobiła im śniadanie, ostrzegła, żeby nie zapuszczali się za daleko:

- Te ulice są wszystkie do siebie podobne. Uważajcie, żeby nie zabłądzić. Pamiętajcie nasz adres?

Pamiętali i cała trójka jej synów ruszyła z hałasem na podbój Australii. (...)

Słońce świeciło pięknie i zrobiło się już zupełnie ciepło. W ogrodzie stał mały blaszany domek z okienkiem w drzwiach, pod wielkim drzewem. Westchnęła: wanny nie było. Z drugiej połowy tylnej werandy zrobiono pralnię, był tam też prysznic, a wodę grzało się w metalowym cylindrycznym zbiorniku, pod którym palono drewnem. Trzeba napalić. Było oczywiste, że Mary przejmuje obowiązki gospodyni: będzie palić, gotować, sprzątać. Jak w dzieciństwie?

Charlie pojawił się drugiego dnia, bo był zapracowany. Z czułością powitał siostrę i szwagra, obiecał, że w następną sobotę zabierze ich do siebie. Lily nie może się doczekać, żeby ich znowu zobaczyć, ale dzieci są trochę chore... Na razie Charlie przyjechał zabrać ich na zwiedzanie miasta. Przyjechał swoim nowym dużym Chryslerem i chłopcy byli zafascynowani maszyną - i wujkiem, którego prawie nie pamiętali. (...)



Perth, ulica St. George.

Samo miasto nie zrobiło na nich wielkiego wrażenia. Przejechali główną ulicą *St. George`s Tce* czyli „Świętego Jerzego”, między kilkupiętrowymi biurowcami. Niektóre pamiętały czasy królowej Wiktorii i zachowały swój angielski styl. Za niewysokim murem, w pięknym ogrodzie krył się – widoczny lepiej od strony rzeki – stylowy, choć niewielki pałac gubernatora. Obok niego, w parku, który wziął swą nazwę *High Court Gardens* od surowych czerwonych budynków Sądu Najwyższego, budował się nowoczesny, betonowy budynek Rady Miejskiej. Obok były banki, hotele, wielka drukarnia i redakcja miejscowej gazety, wszystko na jednej ulicy. U jej końca, na wzgórzu stał podłużny, szary, dwu- czy trzypiętrowy budynek parlamentu, a od niego w stronę rzeki rozciągał się *Kings Park*, z aleją wielkich eukaliptusów, z których każdy posadzony został na pamiątkę żołnierza poległego na wojnie. Była to długa aleja, a każde drzewo miało tabliczkę z imieniem bohatera. To zrobiło na wszystkich wrażenie, choć nie przywoływało smutku cmentarzy.

Widok z urwistego brzegu na szeroko rozlane wody, gdzie łączyły się dwie rzeki, Swan i Canning, szerokim korytem uchodzące wspólnie do oceanu, gdzieś za horyzontem, we Fremantle, ten widok zaparł im dech w piersiach. Na błękitnej

wodzie bielity się żagle jachtów. Siedli na trawie i patrzyli, zachwyceni. Dusza Mary śpiewała: oto Australia! Szeroki, wielki, wspaniały kraj. Trzeba tylko znaleźć w nim swoje miejsce.

Najprędzej udało się to chłopcom. Poszli do szkoły razem, oczywiście do innych klas, ale w tym samym kompleksie barakowych budynków ze wspólnym boiskiem, gdzie spotykali się na każdej przerwie. Na lunch wracali do domu: mieli godzinę przerwy, a szkoła była na sąsiedniej ulicy. Połykali szybko, co Mary przygotowała - i zdawali sprawozdanie ze szkolnych wydarzeń.

Pierwsze tygodnie były dla nich ciężkie. Poszli do szkoły w swoich ubraniach przywiezionych ze Szkocji. Natychmiast znaleźli się pod ostrzałem szyderstw. Wyśmiewano ich buty, krzyczano za nimi: „*pommy!*” - każdy przybysz z Anglii był przezywany „*pommy*”. Dopiero, kiedy we trzech stawili czoła prześmiewcom i rozbili kilka nosów, zaakceptowano ich wyjaśnienia, że oni nie są „*pommies*”, oni są ze Szkocji. (...)

Po kilku dniach chłopcy wyrzucili swoje „angielskie” buty i zaczęli nosić „japonki” jak inni koledzy z klasy. Krótkie popelinowe spodenki i trykotowe koszulki zastąpiły te - tak porządnie wyglądające, zdaniem Mary - blezery, noszone przez uczniów w Auchtertool. Jej synowie zaczęli domagać się kanapek ze słoną, brązową mazią zwaną *Vegemite* albo z masłem orzechowym, a po kilku tygodniach zaczęli przejmować specyficzny sposób australijskiego artykułowania samogłosek, tę wymowę bezskutecznie tępioną przez nauczycieli. A także - wyśmiewaną pogardliwie przez La-la. Babka i ojciec byli tu jednego zdania: australijski akcent jest znakiem australijskiej głupoty. Alan, najmłodszy z synów Mary i ulubieniec babki od wczesnego dzieciństwa, był skłonny bezkrytycznie akceptować jej sądy, ale dwaj starsi, Willie i Brian, ignorowali krytykę, co drażniło babkę i ojca jeszcze bardziej. Mary zaś z niepokojem obserwowała rodzący się pierwszy konflikt rodzinny. (...) Kiedy po trzech tygodniach Grantowie wynajęli niedaleko domek dla siebie - było już za późno.

Szukanie domu do wynajęcia było koszmarem. (...) Zaczynało się od żądania referencji. Najlepiej - listu od pracodawcy. Gordon dopiero szukał pracy.

Po kilku tygodniach stukania do drzwi, znaleźli coś do wynajęcia w pobliżu.

Właściciel był Włochem. Obejrzał ich krytycznie i po konferencji z żoną zgodził się wynająć im dom za 20 dolarów na tydzień. (...)

Dom był potwornie brzydki. „Styl śródziemnomorski” – zaznaczył dumnie właściciel otwierając im drzwi. Była to kwadratowa bryła z płaskim dachem, otynkowana na różowo. Wewnątrz były dwie sypialnie, jadalnia, salonik, łazienka, toaleta, kuchnia i *sleep-out*, czyli pokój na tylnej werandzie, bardzo w australijskim guście. Wszystko było wymalowane jaskrawymi kolorami: żółte ściany, zielone szafki w kuchni, ubikacja fioletowo – bordowa!

Z tyłu domu rozpościerał się „ogród”: pełna kurzu pustynia, ogrodzona na wysokość człowieka szarymi płotami z falistych płyt azbestowych. Na środku stało samotne drzewo, bliżej domu „karuzela” do suszenia bielizny, typowy australijski wynalazek, z wyglądu przypominający rozpięty parasol bez pokrycia.

W samą porę przypomniało jej się, jak ktoś kiedyś chwalił jej poczynania jako młodej gospodyni: *Ty potrafiłabyś stworzyć dom nawet w namiocie*. Ha, trzeba będzie się postarać. (...)

Przeprowadzili się następnego dnia. Podstawowe meble kupili w sklepie z używanymi gratami, które w Australii elegancko nazywa się „antykami”. Mary starała się przymknąć oczy na ich brzydotę, ale wiedziała, że nie da się ich pokochać. Ich dom w Szkocji był wytworny i luksusowy w porównaniu z tym, co próbowała stworzyć swojej rodzinie w nowym kraju, w tym wymarzonej kraju przepysznych ogrodów z basenami do pływania, w tym kraju z broszur reklamowych drukowanych na błyszczącym papierze. Nie było miejsca na marzenia, trzeba było starać się przeżyć. (...)

Szybko poznali swoich sąsiadów. Z lewej strony mieszkali Holendrzy, którzy tuż po wojnie przyjechali do Australii prosto z obozu jenieckiego w Niemczech. Byli stosunkowo dobrze sytuowani i mieli dwóch prawie dorosłych synów, kulturalnych, miłych chłopców, dobrze wychowanych i ciężko pracujących. Mary patrzyła czasem na nich i miała nadzieję, że jej synowie za kilka lat też będą tacy.

Naprzeciwko mieszkali Grecy. Czasem uśmiechali się do Mary i zagadywali do niej, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Uśmiechała się więc też i machała przyjaźnie

ręką. Ich dom przypominał wiejski domek z ogródkiem pełnym kwiatów. Wszystko tam było czysto i wypielęgnowane. Mary zauważyła, że nigdy nie odzywali się do swoich sąsiadów, tych właśnie Włochów, którzy byli właścicielami domu wynajmowanego przez Grantów.



Australijscy Aborygeni

Dwa numery dalej, w azbestowym domu na palach (to były niewysokie słupki, na werandę wchodziło się po dwóch schodkach) mieszkała rodzina Aborygenów. Dom należał do państwa, był nieogrodzony od ulicy i straszliwie zapuszczony.

Pewnego ciepłego poranka Mary usłyszała krzyki. W życiu nie słyszała dotąd tak grubiańskich przekleństw. Wyjrzała na ulicę: przed domem Aborygenów rozgrywała się rodzinna scena. Starsze dzieci z przerażeniem biegały dookoła, dwójka najmłodszych siedziała porzucona w kurzu, a ich rodzice, szepieni ze sobą i młócący rękami, zażarcie się bili.

Przerażona, Mary pobięła do Holendrów, ale nie było ich w domu. Zadzwońiła więc na policję, ale po drugiej stronie odpowiedziano jej, że takie awantury odbywają się co tydzień i żeby się nie wtrącała. Nie, policja nie będzie interweniować.

Wkrótce przekonała się, że istotnie, takie bójki stanowiły część stylu życia jej aborygeńskich sąsiadów. Później przekonała się, że na porządku dziennym było wśród nich bicie żon, pijaństwo zarówno wśród mężczyzn jak i kobiet, zastraszenie i zaniechywanie dzieci. Taka była Australia. Trzeba się było jej uczyć, trzeba się było przyzwyczajać: do dziwnie budowanych domów i do dziwnie mówiących ludzi o szokujących obyczajach. (...)



Okolice Perth w okresie Bożego Narodzenia, fot.likeyouau.blogspot.com

Dziwne były te upalne święta Bożego Narodzenia. Mary nie była specjalnie religijna, jej matka również. Z tradycji rodzinnej - byli wszyscy protestantami, ale Jan był katolikiem i nic to nikomu nie wadziło.

Dla jej dzieci w Australii Boże Narodzenie to były przede wszystkim długie letnie wakacje. W te wakacje dzieci dużo przebywały u dziadków, bo i gdzie indziej? Chłopcy lgnęli do Jana, bo Jan miał też urlop i całe dni majsterkował w swojej szopce w ogrodzie. Ręce Jana były nadzwyczajnie zręczne. Mary raz zajrzała do tej szopki i zdumiała się ilością nagromadzonych tam narzędzi. Wszystko poukładane w idealnym porządku, tylko na środku kupa świeżych obrzynków i wiórów. Jan robił

jakiś mebel.

Nad miastem wisiał upał. Mary już wiedziała, że nie ma co oczekiwać popołudniowej oczyszczającej burzy, najwyżej lekka bryza od morza przyniesie nieco ulgi nad wieczorem. W nocy nagrzane mury domów i ziemia będą wypromieniowywać ciepło. W takie noce najlepiej było spać na zewnątrz, jeśli człowiek nie bał się moskitów. A w dzień trzeba było kryć się w najgłębszym cieniu werandy, albo – jak robiła to jej matka – zasłaniać okna i siedzieć w półmroku. Gotowanie wewnątrz domu nie wchodziło w rachubę. Pewnie dlatego ludzie wymyślili barbecue. Stało ono na podwórzu, a jego konstrukcja była prosta: metalowa beczka, przecięta na pół wzdłuż pionowej osi, umocowana poziomo na nodze z metalowej rury, przykryta blachą grubą na pół palca. Pod tą blachą Jan rozpałił ogień. Dym szczypał trochę w oczy, toteż reszta rodziny trzymała się na dystans. Wędzenie się przy zasmolonej i zardzewiałej beczce było w Australii ponoć honorową funkcją pana domu. Jan wszedł w tę rolę z samozaparciem. (...)

Słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba. Blacha na barbecue była już prawie nagrzana, kiedy pojawił się Charlie i odsunął Jana od paleniska:

- Ja mam więcej doświadczenia - powiedział. Sięgnął po butelkę oliwy, chlusnął nią na blachę. Jan ustąpił i poszedł do ogrodu podlewać grządki. Ogród był spory i podzielony na dwie części: warzywnik od tyłu, a z przodu, koło Barbecue, trawnik i kwiaty. To było królestwo Jana. Z dumą pokazał im swoje gospodarstwo już pierwszego dnia. Jan zawsze lubił uprawiać ziemię. Mary pamiętała, że w Kircaldy mieli piękny ogród: truskawki, ziemniaki, kapustę... I króliki. Często ulubiony królik Mary lądował w garnku... Takie jest życie.

Ten ogród wyglądał inaczej: ziemia była mało urodzajna. Ale i tu były truskawki, sporo krzaków pomidorów, pietruszka, pory i kilka ziół używanych do przypraw: majeranek, mięta, małe drzewko laurowe. Była cała grządka melonów i dyni i kilka drzewek cytrusowych: piękne cytryny i pomarańcze jak błyszczące kule.

Barbecue w wykonaniu Charliego było niezłe. Steki nieco przypalone, ale prawie surowe w środku, plasterki cebuli, pieczarki, upieczone w całości krewetki i grube plastry dyni i cukini. Do tego masa kiełbasek, które dzieciaki pochłaniały z zapałem. Popijano wszystko piwem, bo Charlie stwierdził, że to prawdziwie po australijsku:



tylko piwo. W dużych ilościach.

Dziwnie zmienił się ten jej „mały braciszek”. Mary patrzyła na tego dorosłego mężczyznę i zastanawiała się, czy go jeszcze zna. Myśląc o Charliem zawsze miała przed oczyma tego malca, który był jej utrapieniem w dzieciństwie. Kiedy Charlie dorósł? Jakoś to przegapiła. Oddaliła się od nich wszystkich, kiedy wyszła za mąż, urodziła swoje dzieci i miała swoje kłopoty. Sandra co prawda bywała jej gościem na wsi, ale Charlie miał już swoje życie. Służył w wojsku, potem się ożenił z Lily, rudą Irlandką, która urodziła mu synka. Klepali biedę, kiedy po wyjściu z wojska nie mógł znaleźć pracy. Miał dobry zawód, był spawaczem, ale stocznia w Glasgow nie potrzebowała nowych ludzi do pracy. Nie gardził żadnym zajęciem, ale zdarzało się, że Mary oferowała mu niewielkie sumy zaoszczędzone z budżetu domowego, żeby mógł na czas opłacić czynsz za mieszkanie. Kiedy zdecydował się jechać do Australii, Mary po raz pierwszy spojrzała na niego z szacunkiem. Więcej, patrzyła wtedy na niego z podziwem. A teraz byli w Australii wszyscy.

Jej bratowa, Lily, siedziała na uboczu, Mary przysiadła się do niej. Lily wyglądała kwitnąco w urodzie swoich trzydziestu lat, kusząco zaokrąglona, pięknie opalona, wypoczęta i zrelaksowana. *Widać po niej, że im się świetnie powodzi* – pomyślała Mary. I powiedziała to głośno. Lily się roześmiała.

- Nie najgorzej, owszem. Charlie znowu zmienił pracę. Za każdym razem dostaje wyższe stanowisko i lepszą pensję, sprytnie to robi.

- A ty nie wybierasz się do pracy?

Lily spojrzała na nią zaskoczona.

- Wiesz, że tu uważa się, że kobieta nie powinna pracować. Nasza Eileen jest jeszcze mała. Zresztą, Charlie zarabia na nas wszystkich. Ale na początku było okropnie – dodała pośpiesznie, jakby chciała zatrzeć niepożądane wrażenie czy też pocieszyć Mary. - Każdy nowo przyjezdny przeżywa to samo. (...)

Część miasta na północ od rzeki była uważana za lepszą, niż część południowa.

*Och, mieć własny dom* – pomyślała Mary. Marzyła o tym, że pewnego dnia będą mieli swój własny dom, niechby nawet z państwowego przydziału. Wszystko będzie lepsze

niż to różowe okropieństwo, w którym mieszkają. I nie będzie trzeba znosić tego wścibskiego właściciela, który zawsze chce przeprowadzać inspekcję domu akurat wtedy, gdy Gordon jest w pracy.



Sztuka Aborygenów.

Popołudnie zmieniało się w wieczór. Dzieci rozpakowały prezenty, dorośli siedzieli syci i zadowoleni, kiedy La-la zaczęła znowu wspominać dawne, dobre czasy. Sandra kręciła się niespokojnie, wyraźnie rada by się wymknąć. Chłopcy słuchali grzecznie. Opowieść wyraźnie miała mieć jakąś wartość pedagogiczną.

La-la zaczęła wspominać światowe życie, jakie pędziła przed śmiercią swego pierwszego męża. Mieszkali w pięknym domu - to prawda, Mary pamiętała coś niecoś - mieli trzy sypialnie i jadalnię z wielkimi na całą ścianę oknami, był też salonik, duża łazienka z osobną toaletą, wielki przedpokój, wygodna kuchnia... A w salonie zbierało się czasem dobre towarzystwo - *bo wasz dziadek był biznesmenem i obracał się w wysokich sferach. Miał wielu znajomych artystów. Spotykaliśmy bardzo*

*sławnych i ważnych ludzi. Podczas Wielkiej Wystawy Imperialnej w Glasgow w 1938 roku wasz dziadek gościł w swoim pawilonie pocztowym Króla i Królową. Gdzieś mam nawet zdjęcie...*

Najgorsze zawsze było zakończenie takich wspomnień:

- Boże, na co mi przyszło?

Mary spojrzała na Jana. Siedział wpatrzony w coś przed sobą, przygarbiony i milczący. Nie powie słowa, słyszał to już tyle razy. Nie będzie się bronił. Nie powie, że Sheila była przecież na dnie, gdy ją spotkał. A może nie wie o tym? Ale dlaczego dzieci mają wierzyć w te kłamstwa? Pogardzać Janem? Za co? Postawiła ze stukiem filiżankę na spodku i bardzo wyważonym, spokojnym i uprzejmym tonem zapytała:

- A czy pamiętasz mamo, jak żyliśmy podczas wojny?

Matka wzruszyła ramionami. Mary parła dalej:

- Jak paliliśmy w piecu starymi płytami gramofonowymi, bo węgla nie było? Jak trzeba było sprzedać meble, pianino, nasze zabawki? Pamiętasz, co jedliśmy? Toffi robiłaś nam tylko na urodziny i na Gwiazdkę?

Matka zirytowała się.

- Po co wspominać te rzeczy? Potem było lepiej.

- Tak, jak pojawił się Jan.

La-la zwróciła się do dzieci, ignorując córkę:

- Jan był marynarzem...

- Dajcie spokój - wtrącił się Jan.

- I nie umiał po angielsku. Nie miał pojęcia o świecie. Zresztą - nadal nie ma.

Odezwała się w tym momencie Sandra, zmęczonym głosem:

- Mamo, nie mów takich rzeczy. To nieprawda.

- A znacie tę historię, jak pojechał do Londynu? Nie znał mnie jeszcze wtedy.
- To niesmaczne - mruknęła Sandra. Ale Sheili nic już nie mogło powstrzymać.
- Więc, jego okręt stał w Southampton. Jan pojechał pociągiem do Londynu, spotkał tam jakąś miłą blondynkę i spędził u niej trzy dni. Odprowadziła go na Waterloo Station, ale pomylił się i wsiadł w pociąg, który jechał do Walii, a nie do Southampton. Spóźnił się na okręt. Oczywiście stanął przed sądem, bo to była wojna. Tłumaczył się, że wsiadł w zły pociąg, kapitan go pyta, czy pamięta nazwy stacji, przez które jechał. A Jan na to: *Widziałem tylko „Gentlemen”, „Gentlemen”*, bo tylko to przez okno widział, jak pociąg stawał na dworcach! - i Sheila roześmiała się złośliwie, a Jan dokończył:
- I siedziałem w areszcie, i zdegradowali mnie, i straciłem 10 szylingów z pensji, a to było wtedy dużo pieniędzy.

Wstał z fotela i wyszedł do ogrodu. W ciszy Mary wyszła za nim. Stał wśród swoich grządek. Trzymał w ręku dużą dynię. Złocistą. Przyglądał się jej. Mary podeszła, położyła głowę na jego ramieniu. Podał jej dynię:

- Chcesz, weź sobie. Piękna, prawda?
- Janie - zapytała Mary cicho. - Na tym okręcie, jak cię zamknęli w areszcie, to o czym myślałeś?

Chwilę milczał, potem zebrał się w sobie i powiedział:

- O Polsce. I o mojej matce.

\*\*\*

Dla Szkotów Nowy Rok jest ważniejszy niż Boże Narodzenie. W Glasgow gospodynie myją, skrobią i pucują wszystko, co się da. Na spotkanie Nowego Roku należy być czystym. To przekonanie zostało Mary na zawsze.

W Szkocji, kiedy przyszedł wieczór sylwestrowy, ustawiano na stole whisky i kieliszki razem z ciastami: kruchym i owocowym. Aż do północy nie otwierało się żadnej butelki i nie piło się żadnego alkoholu, a po północy każdy gość był mile widziany i

podejmowany.

Ten ich pierwszy Nowy Rok w Australii miał wyglądać inaczej: pod zasypanym obcymi gwiazdami niebem, w chłodzie przynoszącym ulgę po upale dnia, w samotności. A butelka whisky była luksusem, na który nie mogli się zdobyć.

Fabryka mebli, w której od kilku miesięcy pracował Gordon, została zamknięta na okres świąt i Nowego Roku - i był to urlop bezpłatny. W spiżarni półki były prawie puste. Mary ze zmartwienia nie mogła spać po nocach. Próbowła bardzo delikatnie wspomnieć matce o ich finansowych kłopotach, ale jej sugestia pożyczki została pominięta milczeniem. Z Charliem rozmawiała otwarcie i otwarcie powiedział jej:

- Nie mam pieniędzy, ale możecie iść do Biura Opieki Społecznej, oni wam pomogą.

Po raz pierwszy w życiu wybrali się do Urzędu prosić o wsparcie. Straszne było to przeżycie dla nich obojga. Musieli wyjaśniać sytuację. Musieli tłumaczyć, że ich sponsorzy (matka i Charlie) są też w trudnej sytuacji, choć sami nie byli o tym przekonani. Urzędnik na szczęście był pełen zrozumienia i otrzymali pieniądze, dosyć, żeby zapłacić za mieszkanie i kupić żywność.

W tę australijską noc pełną wrzeszczących cykad, kiedy wybiła północ, z pierwszą minutą roku 1968, Gordon otworzył butelkę whisky, wypili za Szkocję i oboje myśleli to samo: *że też diabli nas podkusili, żeby stamtąd wyjeżdżać!*

Nie mieli pieniędzy na bilety powrotne.



Australia, fot. John White.

*Rozdział 4 ukaze się w poniedziałek 10 kwietnia 2017 r.*